Numer 48. Należ. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 29 Listopada 1931

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Niemieckie „Adieu".

W czasie wojny Niemcy postawili sobie za punkt honoru oczyścić język niemiecki z wszelkich naleciałości cudzoziemskich. Więc na gwałt kuto nowe wyrazy „czysto niemieckie" dla zastąpienia słów obcych, potocznie używanych, lub przestrzegano, aby nie posiłkować się wyrazami cudzoziemskiemi, jeżeli istnieją odpowiedniki niemieckie. Tak np. zdecydowano zaprzestać używać francuskie pożegnanie: „adieu" i posiłkować się wyłącznie swojem „auf wiedersehen" (do widzenia).

Gdy jednak następnie Włochy przystąpiły do wojny i stanęły przeciw Niemcom, jeden z dzienników berlińskich zaproponował wznowić używanie „adieu", tłumacząc je sobie w ten sposób, że składa się ono z pięciu początkowych liter następujących wyrazów: „Auf das Italien endlich untergeht". (Oby Włochy nareszcie zginęły).

„Dowcip" ten Włochom nie zaszkodził, a Niemcom nie pomógł ani w czasie wojny, ani tembardziej po wojnie, bo w Italji dotąd pamiętają o tem niemieckiem „adieu".

Zamyślony.

Pan profesor odmroził nogi: poradzono mu jako najlepszy sposób moczenie w gorącej wodzie. Zabrał się do tego skwapliwie; kiedy skończył, wytarł najpierw lewą nogę; potem zabrał się do wycierania prawej — pogrążony w myślach — lewą włożył znów do wody. Kiedy ją zaczął osuszać, znów prawa znalazła się w wodzie. Tak powtarzało się to kilkakrotnie. Wreszcie pan profesor zauważył zdziwiony: „Nie wiedziałem wcale, że mam tyle nóg!"

Zdrowa cera.

— Małżonka pańska w ostatnich czasach znakomicie wygląda; ma taką świeżą cerę!

— A tak, dwa razy dziennie świeżą.

W sądzie.

Sędzia: Panie profesorze, jak pan mógł się wmieszać do awantury ulicznej? Zupełnie tego nie rozumiem?

Profesor historji powszechnej: Ani ją, panie sędzio. Wiem tylko tyle, że ze mną było prawie, jak z Cezarem: przyszedłem, spojrzałem i... dostałem.

Dwaj synowie.

— Wielu macie synów!

— Dwóch: jeden jest kasjerem w banku, a drugiego już schwytali.

Bohater.

— Nie wiedziałem, że Epsztaj pochodzi z takiej patrjotycznej rodziny żydowskiej. Podobno ojciec jego stracił życie w powstaniu.

— A, tak! Był rosyjskim szpiegiem i Polacy go powiesili.

Numer 48. Rok XIV. Kraków, dnia 29 Listopada 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.391 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

W rocznicę listopadową.

»Kto żyć umie —
Ten nigdy nie umiera«.
(Krasiński).

Ilekroć się przegląda »złotych myśli przędzę i tych uczuć kwiaty«, jakie złożyli wielcy mężowie narodu do arki ojczystej, ilekroć się czyta karty naszej świetnej przeszłości, ma się świadomość bolesnych wrażeń, co niby żywe serce biją i drgają w umyśle każdego Polaka, albo też jak ostre dłuto niezatarte ryją ślady... Bo i gdzież ta Polska Bolesławów i Kazimierzów — gdzież Polska Jagiellonów i Złotego wieku? Upadła Polska niezgodą i nierządem, a wielki Skarga upominał, że zmalał duch w narodzie, serca zbrudziły się prywatą, co niby olbrzym wyrosła i była silniejszą nadewszystko! Tylko krzywda chodziła po wsiach i chatach i piła gorżkie ludu polskiego łzy... A tu powstają nowe państwa ościenne, co się szybko rozwijają i prą naprzód, niby fale niepowstrzymane, grożąc ojczyźnie niebezpieczeństwem. Pojedyncze jednostki myślą o ratunku, ale złowrogie „liberum veto“ unicestwia pracę. I przyszłość staje się coraz ciemniejszą.

Piętrzą się zewsząd chmurzyska, aż przychodzi powolna agonja... Budowa Piastów i Jagiellonów idzie w ruinę. Niema hufców rycerskich, co ongiś Polskę broniły i swemi piersiami osłaniały Europę, będąc wałem ochronnym i przedmurzem chrześcijaństwa. I zdało się, że wszystko minęło bezpowrotnie. Aż oto z poza chmur zwątpienia, huraganu win i upodlenia, wskutek brania „jurgeltów“ przez ciemne i łakome duchy, pobrzękując nie szablą, ale kiesą, napełnioną złotem przez obcą potencję, przychodzi jakaś moc i duch nowy, budzi się życie nowe, a jakiś głos tajemniczy wzywa naród do pracy. Trzeba budować nową Polskę, trzeba rozpalić tysiące świateł, trzeba dać nowe prawa i ten lud wiejski podnieść do godności obywateli! Uczynił to Sejm czteroletni, którego koroną była Konstytucja 3-go Maja, ogłoszona narodowi i zaprzysiężona uroczyście przez króla. Zdało się wówczas, że słodki czar wiosny idzie i sieje złoty pył promieni słonecznych, przynosząc ruń nadziei lepszej przyszłości... I na kruczy okrzyk wrogów „zginiecie“ — odpowiedział Trzeci Maj: Nie — żywi i silni jesteśmy!!

To zrozumienie bohaterów Sejmu czteroletniego — to zaiste najświetniejszy moment w historji narodu polskiego, to największy szczyt patrjotyzmu. Lecz nie ostała się długo ustawa majowa. Targowica, którą zawiązali źli rodacy, zmiotła uchwałę Konstytucji. Upadła Konfederacja Barska, powstanie Kościuszki, Legjony... A również i późniejsze powstanie listopadowe nie przywraca Polsce niepodległości. — Zaczyna się jedno nieprzerwane pasmo martyrologji narodu polskiego, przechodzącego ustawiczną Golgotę. Tylko duszę targa i szarpie ból niezmierny, a i w przyszłości, zda się, niema nic prócz runów bólu i udręki... I zerwał się naród do broni w pamiętną noc listopadową, pomny dni swojej chwały. Przegrał wprawdzie walkę o wolność, ale został posiew krwi, z której w czasie wojny światowej zrodził się mściciel w postaci Legjonów polskich, które siedmnaście lat temu wyszły w świat z orężem w ręku szukać prawdy i zaznaczyć przed całą Europą, że naród żyje! Bo kto wie, czy nie większem nieszczęściem narodu mogłoby być ciche, bez pomruku i oporu znoszenie jarzma niewoli, niż sama walka przegrana? Znaczyłoby to bowiem wyrzeczenie się najszczytniejszego ideału: „Za naszą i waszą wolność!! — Tylko te narody odradzają się, w których tkwi moc i siła, gdzie sztandar wolności, podsycany zniczem miłości Ojczyzny, wżera się w miljony dusz, ryjąc niezatarte ślady...

Ten więc ideał Polski niepodległej gnał rodaków na pole chwały, skąd płynęło echo pieśni tęskliwej:

...„ciemne bory, gęsty las,
smutnie powtarzają wraz:
orle powstań z więzów ran,
orle wzleć nad polski łan...“

Ta myśl o wolności i niepodległości Ojczyzny naszej gnała również Legjony polskie pod dowództwem marszałka Piłsudskiego na śmiertelny bój, by szukać nowego życia dla Polski ukochanej! Już zgórą 100 lat

mija od powstania listopadowego, jak naród, pogrążony w żałobie, zdrętwiał w niemocy. I zdało się, że ziemia ojczysta z wszechbytem popadła w długi i milczący sen... I ciemno było w Polsce, i smutno, i mglisto było... Nie było światła, bo wróg przygasił na chwilę żarzącą pochodnię Nie było prawdy i miłości, bo miłość może wykwitać tylko w prawdzie, a tą prawdą nie odznaczał się nieprzyjaciel, chwilowo przemocą zwycięski. Wszędzie gruba powłoka pomroku, beżświetlna noc, a beznadziejna rozpacz chodziła po ziemi, zbierając obfite Polaków łzy... Ach, gorzkie i krwawe łzy... Bowiem jest stopień rozpaczy, głębszy niż sama rozpacz. To ten, kiedy uczucie, wysilone zbytkiem, cierpieniem, przechodzi w stan bezczucia, a myśl zmęczona zaczyna się plątać, i rwać, i tracić świadomość siebie. Długo naród pozostawał w takim stanie, długo był w letargu. Aż oto świta i dnieje... Z okrutnej nocy niewoli i mgieł wyłania się jutrzenka na szare jeszcze niebo. Z powicia kruczy idzie przejasny i wielki Dzień . i „na wieki będzie Rano"... Przeszło sto lat mija od powstania listopadowego, a wiele dziesiątek od ostatniego porywu. Naród zrozumiał swe położenie — i czekał tylko „chwili osobliwej".

Tymczasem pada hasło: do pracy, do skupienia sił i spotężnienia ducha narodu! I płynął rozpęd twórczy szerokiem łożyskiem, płynął zapał czysty, gorący i szlachetny, a lśniący jak błysk zbroi dawnych rycerzy. Aż nadeszła wojna światowa, której wynikiem była niepodległa Ojczyzna. Tak — ale na ziemi polskiej bezmiar krzyżów i mogił... a wsi i miasta stoją ruiną. Czeka nas ogromne pole pracy narodowej: odbudowa nowej Polski! Mimo burz i wichrów, zewsząd rozszalałych, naród polski nie utracił równowagi ducha. Ma niezłomną wiarę i nadzieję w przyszłość jutrzennych dni, ma siłę i moc, którą czerpie z wnętrza grobów polskich dawnych i dzisiejszych bohaterów. A nadzieję trzeba mieć, bo ona jest zachętą do pracy narodowej, daje natchnienie w pomysłach i wiedzie do krainy, „kędy zapał tworzy cudy" — kędy staje przed nami rzeczywistość. Trzeba mieć wiarę i nadzieję, bo one pobudzają do wytrwałości, rodzą zgodę, pokonują wszelki trud, dążą ku wyżynom szlachetnych ideałów, ku wiośnianym szlakom życia... Hej, już listopad! Ileż to ciężkich wspomnień i łez... któż to policzy? Lecz „żywi nie tracą nadziei"! — Łzy osychają na wychudłych licach, ból siłą zasklepia się w sobie, milkną skargi i z zaciśniętą pięścią kroczymy w dalszy bój życia... Naród, który rozpacza, który żyje tylko przeszłością — to trup. Precz więc ze skargą, naprzód z pracą — precz ze ślamazarnością, w górę duch! Nie pora dzisiaj rozdmuchiwać złości. W górę serca bracia! My, choć nieraz smutni, zatopieni w kruczy bezdennej i zadumie bolesnej, choć nam wrogowie zewnętrzni i wewnętrzni parskają jadowitą śliną, niby meduza rojem migotliwych języków, usiłując zniszczyć Polskę, trwajmy w rozpoczętem dziele i twórzmy granitowe słupy przy budowie państwa polskiego! Wówczas pieśń radości i wesela popłynie w słoneczne bezbrzeża, dźwięczna i przecudna, jak sfer nadgwiezdnych harmonijne chmury... a oczy polskie, niby te kwiaty rozkoszne, będą zawsze uśmiechnięte ku słońcu... Hej, prześliczne i uśmiechnięte!!

Franciszek J. Tryszczyła.



(Dokończenie).

Następnego dnia zabrakło brata Józefa. Zaniepokojeni jego nieobecnością podążyli do jego celi i znaleźli go leżącego na ziemi, koło łóżka w kałuży krwi, ze sztyletem tkwiącym w lewej piersi. Prawa ręka, trzymająca kurczowo broń, świadczyła, iż niewątpliwie popełnił samobójstwo. Zakotłowało w klasztorze ze zgrozy, jeden tylko O. Michał triumfował. Wprawdzie w umyśle ojca przeora rodziło się jakieś podejrzenie — jednak musiał je usunąć, gdyż O. Michał znajdował się pod zamknięciem. Również i cela brata Józefa była zamkniętą tak, że musiano wywalać drzwi. Kiedy wypuszczono O. Michała i oznajmiono mu o wypadku, wyrzekł z udaną goryczą:

— Widzicie ojcowie — śmierć jego jest najlepszem świadectwem mej niewinności. Dręczony wyrzutami sumienia za fałszywe, straszne oskarżenie, wołał w taki niski sposób uniknąć następstw.

Koło południa zachmurzyło się, a kiedy ojcowie zebrali się w sali jadalnej dla spożycia obiadu, rozsrożyła się burza. Przy stole szeroko omawiano okropność wypadku — prym w rozmowie dzierżył naturalnie O. Michał. W chwili, gdy wymawiał słowa, mając na uwadze śmierć brata Józefa „tak Bóg karze podobnych winowajców", zajaśniała sala jaskrawą błyskawicą, z potężną detonacją niedalekiego grzmotu. Równocześnie drzwi do sali z trzaskiem się otwarły i rozległ się nieludzki głos:

— Ojcowie — przekonacie się za chwilę, jak Bóg naprawdę karze winowajców.

Na progu zobaczyli postać zabitego brata Józefa, ze sztyletem tkwiącym jeszcze w sercu, otoczonego aureolą piekielnego ognia. Zczerniały, z rękoma wskazującemi ojca Michała, posuwał się naprzód.

Trudno opisać siłę wrażenia, którą wywarły cztery jednoczesne, tak przeraźliwe wydarzenia. Wszyscy ojcowie zerwali się z siedzeń i wybladli ze strachu, patrzyli na upiora posuwającego się wolno w stronę ojca Michała, który wyglądał na skamieniałego. Piekielna zjawa każdy swój krok wypalając na podłodze, wyrzuciła z ust jeszcze okropniejsze, niż za życia, oskarżenie:

— On — przeklęty — wczorajszej nocy, kiedy już spałem, wszedł do mej celi. Zbudzony silnem ukłuciem w pierś, spostrzegłem najpierw sztylet, następnie jego drapieżną twarz. Kazał mi milczeć, grożąc śmiercią, widząc, iż mam zamiar krzyczeć. Potem zewlókł mię na ziemię i kłując ustawicznie me ciało sztyletem, zasyczał:

— Podpatrzyłeś i zdradziłeś me bluźniercze

praktyki, zatem wiedz, że nie służę Bogu, lecz szatanowi. Ale i ty musisz odtąd stać się jego wyznawcą, wyrzec się wobec mnie wiary w Boga, Chrystusa, Kościół święty i Wszystkich Świętych — inaczej sztylet ten utkwię w twem sercu.

Widząc nieuchronną śmierć, uczyniłem, jak chciał, w tem przekonaniu, że wyprę się wiary ustami, a w duchu zostanę katolikiem.

Nie przewidziałem, iż on na to jedynie czekał. Natychmiast po ostatnich mych słowach wyrzekł:

— A teraz idź w piekło służyć szatanowi — i wbił gwałtownie sztylet w mem sercu tak, że nie miałem czasu wzbudzić w sobie żalu za grzechy.

By upozorować samobójstwo położył mą rękę na sztylecie.

Myślał, że tym sposobem oczyści się z podejrzenia i pozostając nadal w klasztorze, dokona piekielnego planu, który polegał na tem, że licznemi tragicznemi wydarzeniami i zbrodniami spowoduje zamknięcie go i usunięcie zakonników. Ale Bóg czuwał. Chociaż za wyparcie się wiary zostałem skazany na wieczyste męki piekielne, to jednak użył mię za wykonawcę wyroku. Musicie nadto wiedzieć, że nie jest to nasz dawny ubóstwiany O. Michał. Dusza tamtego jest już dawno w niebie — on zaś wszedł jedynie w jego ciało, dusząc go poprzednio.

Wyrzekłszy nową zagadkę, położył rękę na ramieniu O. Michała i zakończył swe oskarżenie słowami:

— A teraz obaj pójdziemy w piekło, które już dawno ci się należy.

Błyskawica i huk piorunu napełniły salę — ziemia rozwarła się pod nogami przeklętych i zamknęła nad ich głowami.

Kiedy ojcowie przyszli do siebie, w sali nie było już ani O. Michała, ani też zjawy brata Józefa. Na dowód zaś, że całe wydarzenie było prawdą, na podłodze pozostały wypalone stopy. Nie znaleziono również ciała zamordowanego.

Zjechały władze kościelne dla zbadania wypadku, nie chcąc wierzyć doniesieniom ojca przeora. W czasie poszukiwań w celi O. Michała spostrzeżono jedynie na stole ślady krwi, która według opowiadania powstała z jego szatańskich praktyk na świętej Hostji i wyciągnięto z ukrycia podarabiane klucze do wszystkich cel w klasztorze.

O. Prowincjał zarządził, by odtąd do zakonu nie przyjmowano odszczepieńców od innych wyznań. Nakazał również, by celę ową przeznaczono na poddanie próbie mających otrzymać święcenia.

Na dowód, że opowiedziane wydarzenie jest prawdziwe, istnieją dotąd ślady. W dawnej celi jadalnej, która obecnie służy za magazyn, możecie jutro zobaczyć wypalone stopy zjawy, a na stole, w celi O. Michała, każdy z was znajdzie ślady krwi, które Bóg najwidoczniej pozostawił dotąd żywe na przestrogę. Wypadek ten jest nadto spisany po francusku w kronice klasztornej, przez ówczesnego przeora O. Sebastjana i podpisany przez naocznych świadków. I to mogę wam jutrzejszego dnia pokazać. Przeczytacie również i zarządzenie ówczesnego O. Prowincjała.

Próba, przez którą musicie przejść, polega, jak już wspomniałem, na tem, że każdy z was sam musi jedną noc przebyć w tej celi. Jeżeli nie dozna żadnej szkody na ciele ani duszy, będzie dowodem, że posiada niezaprzeczone powołanie. Inaczej zostanie wydalony z klasztoru. Doświadczenie okazało — jak jest skuteczną. Dzięki niej naszemu zakonowi nikt niczego nie może odtąd zarzucić. Znajdują się w nim ludzie godni szacunku.

Dzisiejsza noc, wprawdzie znacznie ukrócona przez moje objaśnienia, jest jednak najcięższą do przebycia. Owładnięty świeżością wrażenia, musi należeć do niezwykle świątobliwych, albo też odważnych, by śmiało ją przebyć w celi przeklętego. Pytam jednak: kto z was, moi drodzy, dobrowolnie podda się próbie pierwszej nocy?

W tej chwili przy jednym ze stołów powstał wątły kleryk i podążył do katedry. Za jego śladem poszedł drugi, właśnie ten, który swem zachowaniem zwykł był irytować w duchu ojca przeora.

Wstrzymał go jednak w połowie drogi głos:

— Domaniecki, proszę zostać. Wiem, że jedynie odwaga i ciekawość skłania cię do tego kroku. Żałowałbyś potem. Zawada — proszę się zbliżyć — zwrócił się do wątłego kleryka. — Ciebie, jestem pewien — głęboka wiara stanie się twoim pancerzem.

Kiedy stanął obok przeora, ten zwrócił się do reszty:

— Nie wątpię, że wielu z was dobrowolnieby poszło za przykładem kleryka Zawady — ale dzisiaj zbyt silnie jesteście przejęci tem, co słyszeliście. Kolejność na następne noce zostanie ustanowiona losami. Do puszki, w której zazwyczaj znajdują się kostki z liczbami do modłów za dusze zmarłe, umieszczonej przed drzwiami kaplicy — będą co wieczór wkładane losy, odpowiadające waszej ilości. Kartka z czarnym krzyżem zadecyduje, kto ma się poddać nocnej próbie. Po modłach wieczornych opuszczać odtąd będziecie kaplicę ostatni — a potem po kolei sięgniecie do puszki. Nikt was nie będzie kontrolował przy wyciąganiu losów; nie wątpię bowiem w uczciwość tego, który wyciągnie czarny krzyż. Przed otwartą celą służącą za próbę, ja go będę oczekiwał, by mu dodać otuchy.

Raz wylosowany odpada z dalszego udziału — temsamem i liczba kartek co wieczór będzie ulegała zmniejszeniu tak, że ostatniego dnia będzie tylko jedna z czarnym krzyżem.

Po tych słowach powstał.

— Bóg z wami, kochani chłopcy — wyrzekł na pożegnanie, kierując się do drzwi. — Wielu z was będzie miało niespokojną noc, najcięższa jednak czeka Zawadę. Podkreślam raz jeszcze, że opowiadanie moje jest prawdą, stwierdzoną dokumentami i przestrzegam, by je nie interpretowano lekkomyślnie. Kto nie odczuwa prawdziwego powołania Bożego, niech przed próbą odstąpi od zamiaru pozostania księdzem.

Kładąc łagodnie rękę na ramieniu Zawady, pociągnął go za sobą.

Za nimi poszli inni, przeważnie ze zwieszonemi głowami.

Czy to była prawda? — nikt dzisiaj nie był pewien. W każdym razie opowiadanie ojca przeora wywarło na słuchaczach potężne wrażenie. W duszach obudził się lęk przed czekającą nocą w złowrogiej celi. Odniosło ono w każdym razie pożądany skutek.

Kiedy bowiem wszyscy rozeszli się do cel — a w klasztorze zapanowała cisza — na korytarzu drugiego piętra, słabo oświetlonym lampą oliwną, wiszącą przed obrazem M. Bożej, zjawił się najpierw jeden cień odziany w habit zakonny. Starając się jak najciszej posuwać, podążył na parter do mieszkania ojca przeora. Za jego śladem poszedł drugi.

Jeszcze tej samej nocy dwaj klerycy, Józef Woźniak i Franciszek Twaróg zrezygnowali z poddania się próbie i zgłosili wystąpienie z zakonu.

K o n i e c.

Jak to chłop djabła wykiwał.

(Bajka).

Razu pewnego szedł sobie starszy już człowiek, który się ofiarował za otrzymane od Boga łaski odbyć pieszo pielgrzymkę do Częstochowy. Droga prowadziła przez las, w którym straszyło nocami i nie dawało przejść nikomu.

Idzie sobie nasz pielgrzym, imieniem Wawrzek, ledwie żywy ze strachu, i odmawia modlitwy, gdyż go noc w lesie zapadła. Wtem przystąpił do niego jakiś pan, wysoki, w czerwonych spodniach, który zamiast butów miał końskie kopyta. Przy palcach u rąk zamiast paznokci sterczały mu pazury, jak u kruka.

— Dokąd idziesz dobry człowieku? O ile chcesz, mogę ci towarzyszyć — powiada ów pan do Wawrzka.

Chłopinie stanęły włosy dębem na głowie ze strachu, ale że był niegłupi, więc przystał na jego projekt.

Poszli. W czasie drogi zaczął Wawrzek opowiadać, jaki to Pan Bóg dobry, jak go uzdrowił i że za to właśnie idzie Mu złożyć dzięki do Częstochowy.

Ledwie Wawrzek wypowiedział ostatnie słowa, w lesie dał się słyszeć tak przeraźliwy śmiech szatański, że skały pękać i jęczeć zaczęły.

Wawrzek padł na kolana, ze strachu zapomniał języka w gębie, tylko drżącemi rękami przesuwał paciorki różańca.

Gdy to zobaczył ów pan, a był to djabeł, począł namawiać Wawrzka, aby rzucił te czarne korale, mówiąc, że mu da za to prawdziwe.

— Za żadne skarby świata nie porzuciłbym mojej świętości, która mnie strzeże od złego — odrzekł chłop.

Djabeł nic na to nie odpowiedział, lecz szedł dalej obok Wawrzka.

Wystraszony chłopina ani nie zauważył, kiedy zboczyli z drogi i weszli w wielkie moczary i bagna. Gdy biednemu Wawrzkowi poczęły już nogi więzgnąć w bagnie powyżej kolan, rozpętała się straszna burza, a błyskawice rozświetlały ciemności.

— Jezus, Marja! — krzyknął Wawrzek, a djabeł odskoczył, jak poparzony.

Po chwili zbliżył się jednak ku niemu i począł się droczyć z biednym chłopem:

— No zostaw teraz te korale, to cię wyratuję. Inaczej się utopisz! A nadto podpisz ten oto papier, a zrobię cię wielkim panem. Będziesz miał własny pałac, złota moc i żył będziesz długo.

Chłop poskrobał się po głowie, bo biedny był, a długie życie w dostatku uśmiechało mu się bardzo. Ale cóż: Boga mu żal i złota mu żal.

Po głębokim namyśle, gdy już zapadł po pas w błoto, powiada:

— No dobrze! Zgadzam się, ale pod trzema warunkami. Po pierwsze, że ugodę będę nosił przy sobie, po drugie, że mnie wpierw wyciągniesz z bagna, a po trzecie, gdy na tem miejscu stanie karczma, a ja w nią wejdę, wtedy dopiero wolno ci będzie zabrać moją duszę. O ile wcześniej umrę, nie będziesz miał do mnie prawa.

Podczas tej rozmowy Wawrzek wiązał na sznurku węzełki podobne do różańca, a gdy skończył wiązanie, odrzucił w oczach djabła niby prawdziwy różaniec. Jeden prawdziwy paciorek upuścił na ziemię z rozmysłem.

— No dawaj djable papier, napiszemy ugodę!

Ale djabeł miał już ugodę gotową, dał ją więc tylko chłopu do podpisu.

Gdy już wszystko zostało załatwione, djabeł wyciągnął chłopa z bagna, dał mu ogromne skarby i zniknął.

Wawrzek udał się do Częstochowy, wyspowiadał się ze wszystkiego, a że był bardzo bogaty, więc na tem miejscu, gdzie djabeł miał zbudować karczmę, postawił piękny i trwały kościół. A że miał ugodę przy sobie, to się też nic nie bał, choć była przypieczętowana djabelską łapą.

Trzeba dodać, że przed postawieniem kościoła djabeł chciał tam wybudować karczmę własną swoją mocą. Lecz co który z djabłów stanął na tem miejscu, gdzie był porzucony paciorek różańca, uciekał, jak szalony i aż pienił się ze złości. Gdy który z nich zgrzytnął zębami ze złości, to cały las trząsł się, ptaki spadały z drzew, skały się waliły, ale żaden z djabłów nie mógł nic zrobić, bo przystępu bronił mu ów jeden jedyny paciorek z różańca. Gdy jeszcze kapłan poświęcił owo miejsce, na którem djabeł chciał zbudować karczmę, a Wawrzek kościół, djabli zaprzestali daremnych usiłowań, gdyż poznali, że moc Boska jest większa ponad siłę djabelską.

Djabeł czekał teraz, póki się na zawali kościół, aby tam mógł postawić karczmę, a Wawrzek żył długie lata w dostatku, budując kościoły i szpitale, i pomagając biednym.

Po 50 latach pobożnego życia umarł wreszcie z różańcem w ręku, a kościół stoi dalej, gdyż moce piekielne nie zdołają go zwyciężyć.

Józef Kunda.

Bohaterom.

(W stopierwszą rocznicę powstania listopadowego).

Grzmoty salw — ryk szrapneli —
Bolesny świst kul
Przewiercając powietrze kaskadą huku —
Nad Polską Wy — stanęli —
Bohaterzy!.. —
Ból —
Chichotał się męstwem i łkał na bruku
Poległych braci.... —
Nastawił pancerną pierś
I zasłonił potem krwi działo — Olszynkę —
Matka drogiego syna traci —
Hej, szablę na wroga nieś!
Nie trwoż czoła, — żyć będziesz jeszcze godzinkę,
A Ojczyzna powie ci: śnij przesłodko — cześć!

— — — — — — — — — — — — — —

Dzisiaj sztandar wolności uroczyście powiewa,
Raduje się nadzieją narodu Serce,
A akord miljonów serc głosem podzięki śpiewa:
Bohaterom, co padli gdzieś w poniewierce —
Bohaterom, co zmarli na armat łonie, —
Których kochanką było, bagnetów błonie —
Cześć!... Cześć!.. Cześć!...

Józef Sroga.

KUCIE KOS.



Praojcowie nasi, porywając się do walk przeciw strasznemu ciemiężcy polskiego narodu, nie mieli ani broni, ani amunicji, ani pieniędzy w dostatecznej ilości, aby rzeczy te gdzieś zagranicą zakupić. Radzili sobie też, jak mogli, aby broń tę przecież zdobyć, bo bez niej walka była wprost niemożliwą. Zdarzało się też niejednokrotnie, że młodzi chłopcy wyruszali na krwawe boje zupełnie bezbronni. Ukrywali się w lasach i czekali na nadciągnięcie wroga. A gdy ten nadszedł i rozłożył się na spoczynek, nie przeczuwając żadnego niebezpieczeństwa, uderzali na niego z nienacka, zabierali mu broń i uchodzili w lasy, aby tam formować już uzbrojone oddziały. W ten sposób wiele broni i amunicji nieprzyjacielskiej przeprzeszło w ręce powstańców. Ale takie zdobywanie potrzebnego sprzętu było połączone z wielkiemi ofiarami. Niezawsze nieprzyjaciel dał się zajść niespostrzeżenie; nim został zaskoczony, uderzał na przygotowujących się do napadu powstańców i kładł ich całemi masami trupem. Nie zrażało to jednak innych, którzy, jak mogli, tak broń dla siebie zdobywali.

W braku broni palnej, w braku szabel i innej broni siecznej, powstańcy musieli posługiwać się na wzór naszych Krakusów z pod Racławic, kosami. Jak wiadomo, kosa zwykła jest przymocowana do drążka pod kątem prostym. Kosa taka w boju była niewygodna; trzeba ją było nietylko przymocować pionowo, ale i silnie, aby wytrzymywała dobrze zadawane ciosy. Wskutek tego kowale musieli takie zwykłe kosy przekuwać w ten sposób, aby można je było do kosisk przymocować pionowo. Z robotą swą musieli się kryć, aby ich Moskale nie wyśledzili i srogo nie ukarali. Czynili to więc nocami, w jakiejś odludnej chacie, nierzadko po lasach, strzeżeni do tego pilnie przez powstańców, którzy ostrzegali ich przy pojawieniu się w pobliżu jakiegoś podejrzanego osobnika.

Takie kucie kos przedstawił artysta na obrazie, którego reprodukcję podajemy powyżej. Dwaj kowale kują zamaszyście owe kosy, trzeci rozgrzewa je w płonącym ogniu, a powstańcy patrzą się z lubością na pracę spoconych rzemieślników.

Nie trzeba dodawać, że walka kosami była niewygodna i uciążliwa, ale też rany, zadane nimi, były straszne. Walka mogła się odbywać tylko pierś w pierś, gdyż na odległość kosa nie miała żadnego znaczenia. Ze względu na straszne rany, zadawane kosami, Moskale bali się ich bardzo, to też niejednokrotnie nawet silne oddziały wojsk moskiewskich

uchodziły przed garstką powstańców, uzbrojonych w kosy.

Czasy od tamtych bohaterskich zapasów zmieniły się ogromnie i dziś o broni takiej wrazie wojny niktby nie pomyślał, gdyż byłaby ona zupełnie bez znaczenia, ale wówczas kosy wyświadczały powstańcom znaczne usługi i przyczyniły się do niejednego zwycięstwa.



W zesłą niedzielę wdepnął Bartłomiej Pyskozyrca z Psiej Wólki do pachciarza Chaima na jednego. Ponieważ w karcmie nie było nikogo, więc Chaim tak powiada do niego:

— Słuchajcie, Bartłomieju, co ja wam potrzebuję powiedzieć. Jo wim, co u was bida piscy, jaze skoda gadać. Wy możecie u mnie zarobić, ale trzeba trzymać gębę na powrózku, żeby z niej żadne słowo nie uciekniło. Cysty interes, fajn interes! Kuždenby chciał zarobić, ale ja już dla was mam takie miękkie serce, co nie trzeba gadać!

— Macie gadać, to gadajcie — odburknął Bartłomiej, najchudobniejsy gospodarz w Psiej Wólce — a o moją gębę się nie frasujcie, juz ona se tam sama poradzi!

— Nu, może i tak być, ale ja jeszcze o tem nie wiem... Ja wam dam kielisek sjabasówki, takie fajn od nase wiare... wypijcie i posłuchajcie, co wam powiem. Pewnieście widzieli, ze dziedzic nasadził za wsią tyle kapusty, może tego będzie ze dwadzieścia zagony. Na co jemu tyle? Przecie pańska gęba delikatna, to ona nie do kapusty stworzona. Jej prawie jeść z ciastkiem, z makagigiem, a nie z takiem ordynarnem jedzeniem... Ja też posadziłem zaraz takie wąziutkie paski, może trzy główki, a może nawet tylko dwie rosną w rządku. Co ja będę z tego miał, powiedzcie sami? Mnie jeszcze z pięć kopów zabraknie. Wy, Bartłomieju, moglibyście się obudzić w nocy, mogłaby was na ten przikład z pchłem ukąsić i moglibyście sobie wyjść na pole trochę się przewietrzyć. Wasa chałupa siedzi sobie na końcu wszy, a zaraz za płotem rośnie pańska kapusta. Ona sobie akurat tak rośnie, jak tego potrzeba. Wy się trochę po polu przejdziecie, trochę poszukacie tę kapustę, a jak znajdziecie te pięć kopów, to je przeniesiecie do mojej szopy i skończony jenteres. Dostaniecie za to calusieńkie dwa złociaczki. Nu, Bartłomieju, czy zgoda?

Bartłomiej poskrobał się po głowie i powiada:

— Dobra wasza szabasówka, złocisze też nie psy, po drodze nie chodzą... Dajcie na zadatek złotego, a jutro kapusta będzie w szopie. Co komu do tego, gdzie ja jej szukać będę...

— Co komu ma być do tego, ja nie chcę nic wiedzieć, to już wasza głowa. Macie nawet ten zadatek, choć to moja krzywda..

Idzie Bartek do domu i myśli:

— Pockaj, zydzie, będzies miał kapustę, będzies, ja ci jej nie pozałuję. Nie będę nawet cekał nocy, zeby się trochę obudzić...

Zaraz po wiecerzy wziął Bartłomiej worek i nóz i posed prosto na Chaimowe zagony, wybrał poomacku co największe głowy, wyciął pięć kóp z okładem i w parę godzin poznosił je do wskazanej szopy. Rano posed do Chaima i pokazuje mu kapustę. Zyd się uciesył, bo tego była kupa wielgaśna, a kapusta tego roku była droga. Bez targu dał Bartłomiejowi drugiego złotego i powiada:

— Nu, Bartłomieju, wyście bardzo fajn poszukali, ale coby tego szukania nie było znaku, to ja kazał zaraz swoje kapustę wycinać.... Niech to będzie, że ona wszycka na moje zagony potrzebowała wyrosnąć.

Ledwie to Chaim wypowiedział, wpadła do izby zadysana Chaimowa z krzykiem, ze im ktoś kapustę do cna wygolił.

— Nu, co to jest Bartłomieju? Poco ta omyłka? Oddajcie dwa złote i niech was gęsz kopnie! Ja miszlał, co wy porządny człowiek, a wy moje kapustę ukradli... Nu, ja was do sądu podam!...

— Upamiętaj się człowieku! Bo jakiemze prawem robis ze mnie złodzieja? Toć twoja kapusta w twojej sopie lezy. A com wziął, tom wziął ino za robotę...

— Aj waj! Jaki głupi rozum u was! Przecie ja wam nie kazał brać z moje zagony, ale wam kazał kapusty poszukiwać...

— Ja tez poszukałem, a gdziem znalazł, to moja w tem głowa. Bądźcie zdrowi, a jak będziecie mieli, Chaimie, jesce taki interes, to wam go chętnie załatwią.

— Bodaj moje wrogi z takim, jak ty, jenteresa mieli. Złam kiszki i niech cię więcej nie widzę!



Zgon myśli...

Chcę napisać wierszyk jasny,
A nie mogę, nie!
Świat już dla mnie jest za ciasny —
Życia wicher dmie!

Chcę chociażby jedną zwrotkę
Spoić myślą mą,
Choćby smutną jak sierotkę —
Lecz wichury dmą!

Chcę chociażby myślą strzelić
W lazurowy kręs,
Chociaż duszę mą zanielić —
Nie pozwala bies!

Więc się w świata zaułki ciemne
Pogrążyłem w noc,
Usłyszałem krzyki zmienne —
I łez rzewnych moc!

Opadły mi skrzydła lotów,
Jako żagiel płacht;
Wziąłem księgę „świętych wotów" —
Wsiadłem w Boży jacht.

I płynąłem jak w ekstazie
W złoty nieba tron...
W trzeciej mego życia fazie,
Odnalazłem zgon!

I poznałem świat prawdziwy
Na wędrówce tej;
Świat ponętny, ludzki, tkliwy —
Spokój myśli mej!

L. Kuboszek.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Chiny I.

W ostatnich latach Chiny coraz więcej zajmują umysły całego świata. Olbrzym ten, liczący 470 miljonów ludności, nie chce, czy nie może żyć spokojnie, ale ciągle się burzy i sam siebie niszczy w swych własnych granicach. Nieustanne wojny domowe wyludniają kraj, a pozostałych jego mieszkańców doprowadzają do skrajnej nędzy. Jak to już zaznaczyliśmy w jednym z numerów „Roli“, w przeciągu 5 lat ubyło tam 15 miljonów ludzi.



Skazaniec w beczce.

A nietylko, że niszczą się sami, ale jeszcze i przyroda w tem im pomaga. Oto obecnie kilka prowincyj północnych Chin zostało dotkniętych zarazą dżumy. Zaraza szerzy się najwięcej w prowincjach Ho-Nan, Szan-Si i Szen-Si. W prowincji Ho-Nan dżuma objęła 50 powiatów. Mieszkańcy, pozbawieni opieki lekarskiej, umierają tysiącami. W powiecie Teng-Hsien zmarło już na dżumę 4 tysiące osób. W powiecie Tai-Ang zmarło przeszło 10 tysięcy mieszkańców. W Sin-Ych umiera dziennie przeszło 1000 osób na dżumę. Podobne wiadomości nadchodzą z innych powiatów, gdzie całe wioski ulegają wyludnieniu, a trupów nie ma kto grzebać.

W innych okolicach olbrzymie zniszczenie sieje powódź. Jak donoszą z Nankinu, przeszło 300 tysięcy kilometrów kwadratowych zostało w Chinach dotkniętych klęską powodzi. Wszelkie zbiory znalazły się tam pod wodą, a wskutek tego panuje tam głód i nędza nie do opisania.

Niedość na tem. W ostatnich tygodniach Chiny zawikłały się w ostry spór z Japonją w Mandżurji. Kto ma słuszność w tym sporze: Chiny czy Japonja, trudno osądzić. Jak to w każdym sporze, tak i tu obydwie strony powiadają, że przeciwnicy nie mają słuszności, a nawet dyplomaci europejscy dobrze nie wiedzą, po czyjej stronie się opowiedzieć. Liga Narodów usiłuje pogodzić powaśnionych, ale się jej to nie udaje. Wprawdzie wojny w całem tego słowa znaczeniu jeszcze tam niema, ale niemniej ciągle przychodzi do mniejszych i większych bitew, w których jest wielu zabitych i rannych.

Chińczycy są ciekawym narodem. Mają oni wśród swych rodaków ludzi wykształconych na sposób europejski, mają uczonych, nieustępujących naszym uczonym, ale ogół narodu jest jeszcze tak ciemny, że niewiele różni się od narodów dzikich. Dlatego też w niektórych okolicach panują jeszcze do dziś dnia barbarzyńskie zwyczaje, jakie i u nas w wiekach średnich były na porządku dziennym. Należą do nich przedewszystkiem tortury wszelkiego rodzaju. Im wymyślniejsza i dokuczliwsza tortura, tem jest ona tam bardziej rozpowszechniona. Na naszych obrazkach widzimy trzy rodzaje takich tortur.

Na pierwszym z nich widzimy skazańca, zamkniętego w beczce tak, że tylko głowa wystaje nad jej powierzchnię. Obok beczki stoi oprawca, który pendzelkami drażni to uszy, to nos, to usta skazańca. Drażnienie to sprawia bardzo dokuczliwe swędzenie, a biedny skazaniec nie może się przed niem bronić, ani swędzących miejsc podrapać. Jest to uczucie tak przykre, że niejednokrotnie skazaniec w czasie tortur dostaje pomieszania zmysłów.

Na drugim obrazku widzimy jeszcze straszniejszą torturę. Jest to tak zwana próba duszenia. Skazanego na tortury przywiązują do słupa z poprzecznym drążkiem, do którego przymocowują jego rę-



Tortury przez duszenie.

ce. Na szyję oprawca zakłada sznur tak, że otacza on również i ów słup morderczy. Poza słupem w swoje



Tortury zapomocą nakłuwania.

sznura daje silny kij i zakręca nim raz i drugi. Sznur skręca się, przyciskając do słupa kark skazańca i wrzynając się w jego szyję. Torturowany poczyna się dusić i udusiłby się, ale oprawca nie dopuszcza do tego. Zwalnia sznur i pozwala biedakowi zaczerpnąć nieco powietrza. Ale gdy ten nabierze już nieco sił, ponawia znowu swą straszną operację. Powtarza to dotąd, póki skazaniec nie wyzna swej winy, o którą został posądzony. Często najniewinniejszy człowiek przyznaje się do zbrodni niepopełnionych, a jeszcze częściej ginie wśród strasznych męczarni, gdy albo jego siły nie zniosą tych katuszy, albo gdy woli zginąć, aniżeli przyznać się do zbrodni, której nie popełnił.

Na trzecim wreszcie obrazku widzimy trzeci rodzaj tortur. Polega on na kłuciu skazańca. Widzimy tu biedaka, skrępowanego powrozami. Pomocnik oprawcy przytrzymuje go jeszcze w dodatku, aby się zbytnio nie rzucał w czasie zadawanych mu męczarni. Sam zaś oprawca ostrym nożem wykonuje wolno cięcia na jego głowie. Może jeszcze więcej aniżeli sam ból sprawia mu cierpienia sama myśl o mających nastąpić ukłuciach i oczekiwanie na nie. A oprawcy w zadawaniu cierpień są specjalistami. Człowiek, który przejdzie takie chińskie tortury, choćby się wyrwał nawet jakimś cudownym sposobem z rąk swych katów, już jest stracony dla życia. Bo choćby odzyskał fizyczne zdrowie, to umysł jego z dniem każdym coraz bardziej podupada, aż wkońcu biedak taki kończy warjactwem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnica spowiedzi.

Okropne zdarzenie z niedawnych czasów.

WSTĘP.

W Szwajcarji nad granicą francuską rozlega się od południa ku północy kilka pasm gór, zwanych „górami jurajskiemi", albo poprostu „Jurą". Góry sięgające do 8.000 stóp wysokości tylko w dolnej części są pokryte lasem świerkowym lub jodłowym, wyżej nad 4.000 stóp już nie znajdziesz żadnego drzewa, tylko kosodrzewiny i krzaki sosnowe, które nigdy do trzech stóp nie dorosną, lecz swe gałęzie skarłowaciałe i zawiłe po ziemi rozkładają, tworząc dzikie zarośla, przez które się przedrzeć niepodobna ludzkiej stopie. Jeżeli wędrowiec wydrapie się na 6.000 stóp, ujrzy przed sobą ogromne przestrzenie porosłe mchem, w którym noga więźnie jak w głębokim piasku, wierzchołki gór zaś przedstawiają niewypowiedzianie smutny obraz, bo dzikie skały uderzają zupełną nagością i cudnemi urwiskami, między któremi śnieg ani w lecie się nie roztapia.

Między pasmami gór ciągną się węższe i szersze doliny, zasiane wioskami, które otaczają pola, łąki i zielone pastwiska. Opisawszy krainę, także zwaną „Jurą", przystępujemy do naszej powieści.

Gość.

Wieczorną porą siedział przed plebanją w cieniu modrzewia ks. Walenty, proboszcz parafji molińskiej, przypatrując się zachodzącemu za górami słońcu sierpniowemu. Ostatnie promienie cudownie oświetlały jego podniesioną ku niebu twarz, która na zielonem tle modrzewiowych gałęzi ślicznie się odbijała. Ksiądz Walenty liczył lat 60, chociaż o kilka lat starszy wyglądał; zmarszczki na czole i około ust, rzadki włos otaczający szeroką łysinę świadczyły o przykrych czasach i ciężkich pracach, które przeżył w świętem powołaniu dla zbawienia swych owieczek.

Słońce skryło się za górami, gęsta mgła podnosiła się nad rzeczką, przerzynającą wioskę i dolinę. Ks. proboszcz złożywszy brewjarz obracał się właśnie do drzwi, kiedy piesek pod ławą spoczywający głośno zaszczekał, a potem biegł do wrotek, podwórze zamykających, przed któremi stał obcy mężczyzna, kapeluszem gospodarza pozdrawiający. Z radosnym uśmiechem bieży ks. proboszcz do furtki, ręce wyciągając do przybyłego, w którym poznał wiernego przyjaciela swego, pana Branda z Lent pod Genewą.

— Witam Cię — kochany przyjacielu — oj toć mi miła niespodzianka!

— Bóg ci zapłać, za miłe przywitanie, drogi księżulku! — już od kilku lat wybierałem się do księdza Dobrodzieja, aż wreszcie Najśw. Panna mnie tu doprowadziła!

Uściskawszy i ucałowawszy się serdecznie, patrzą na siebie ze łzami w oczach.

— Zestarzeliśmy się, księżulku! — odzywa się p. Brand, spostrzegłszy głębokie zmarszczki na twarzy przyjaciela.

— Ej, co tam, daremnie narzekać? — jam szczęśliwy, że cię widzę zdrowego; chodź ze mną do domu na posiłek!

Siostra ks. proboszcza przyniosła kolację, która wybornie smakowała, bo była ożywiona wesołą pogadanką.

— I cóż cię do mnie sprowadziło? — czy dawna przyjaźń nasza, czy jaki interes?

— I jedno i drugie, mój księżulku! — odpowiada Brand. — Sprzykrzyło mi się życie między kalwinami, którzy szczególnie w ostatnich dwóch latach na każdym kroku katolika obrażają i prześladują. Sprzedawszy korzystnie moją ziemską wła-

sność, przychodzę do ks. Dobrodzieja, aby tu w bliskości między katolikami się osiedlić. Doczytawszy się w gazetach, że w Lagen jest na sprzedaż folwark obejmujący około 200 jutrzni, przybyłem tutaj



Z największem wysileniem utrzymał się nad przepaścią..

z prośbą, abyś mi doradził, ile ten folwark jest wart?

— Folwark Lagen jest posiadłością wyborną, chociaż przez obecnego właściciela nieco zaniedbaną. Niezmiernieby mnie cieszyło, gdybyś ją kupił, mój przyjacielu, bobym się pozbył z parafji Rossa, najniebezpieczniejszego bałamutnika ludu i zaciętego wroga, który najlepsze moje chęci i prace w parafji niweczy swym wpływem; natomiast w tobie pozyskałbym gorliwego katolika i wiernego sprzymierzeńca. Uważam w tem wolę Boga, którego gorąco prosiłem o nawrócenie Rossa, albo przynajmniej o jego oddalenie z mojej parafji.

— Jeżeli tak, tom gotów i wyższą nad rzeczywistość ofiarować sumę, już to i z tej przyczyny, aby mieszkać w twojej, ks. Dobrodzieju, parafji!

Nazajutrz oddał Brand paczkę z 20 tysiącami franków na schowanie ks. Walentemu, a włożywszy 4.000 franków do pugilaresu, odszedł do Lagen, przyrzekłszy na wieczór powrócić do przyjaciela.

Niebezpieczna podróż.

Dnia następnego po południu okropny orkan panował w górach; wicher łamał najstarsze drzewa, pioruny biły nieustannie, napawając ludzi największym strachem. Niskie chmury sprawiły taką ciemność, że jeszcze przed wieczorem ludzie zapalili lampy i gromnice, przy których zgromadzone rodziny z żalem i skruchą gorące zasyłały modły do Boga, aby ich od nieszczęścia i nagłej śmierci zachować raczył.

— Któż poważa się w tak okropnem powietrzu opuścić dom i pieszo puszczać się w góry? Wszakżeby ani psa nikt nie wypędził dziś na podwórze?

Tak się odzywali ludzie, spostrzegłszy przez okno mężczyznę, drogą przechodzącego przez wioskę. Zrazu go nie poznali, bo się zasłaniał płaszczem, aż usłyszeli dzwonek, urywkowo się odzywający.

— Mój Boże! — nasz ksiądz Jegomość idzie z Panem Jezusem do chorego!

— Któż tak nagle zachorował, że w takiej nawałnicy księżoszka fatygują?

— Może piorun nieszczęście zrządził i dlatego śpieszy kapłan do porażonego!

— O nieprzebrana dobroć Zbawiciela, że każdego czasu śpieszy z pomocą w największej potrzebie!

— A jakże podziwiać poświęcenie kapłana, który nie zważa na okropny orkan, ani na pioruny, kiedy go do umierającego zawołają!

— W żadnym stanie nie znajdziesz podobnego poświęcenia się na usługę bliźnich, bo któryż sędzia, urzędnik i nawet któryż z lekarzy w takiem powietrzu opuściłby dom swój na zawołanie?

— A jeszcze bezpłatnie?

Takie i podobne uwagi dały się słyszeć w chatach wieśniaczych po modlitwach i ukłonach, oddanych na klęczkach utajonemu Zbawicielowi.

Tymczasem ks. Walenty przytulając Zbawiciela do serca swego, postępował wśród okropnych trudności coraz wyżej do gór, nie lękając się ani piorunów, ani drzew łamiących się i przed nim na ścieżkę spadających. Czasami porywał go wiatr tak gwałtownie, że tylko z największem wysileniem utrzymał się nad przepaścią, przyczepiając się do skały lub gałęzi.

A jednak był spokojny i śmiało kroczył dalej, bo go wiara posilała i dodawała odwagi.

— Boga piastuję i Aniołowie swego Stwórcę otaczają; czegoż się mam obawiać?

Nie zawiodła go wiara, bo za godzinę wstąpił do niskiej chatki, na szarym końcu wioski do skały niby przylepionej.

W ubożuchnej izdebce ujrzał schorzałą niewiastę, samiutką i opuszczoną, która z pragnieniem i wyciągniętemi rękami witała Boga i kapłana zbawienie przynoszącego.

Wydobywszy świecę z latarki i postawiwszy ją na stole, rozpoczął ks. Walenty święte obrządki, przepisane przez Kościół święty dla umierających.

Nie będziemy ich opisywali, boć znajome są każdemu katolikowi, tyle tylko podajemy, że po skończonem nabożeństwie na twarzy chorej dziwny malował się pokój — pokój, jakiego świat dać nie może.

— Bóg zapłać Jegomości! Ciężko ubolewam tylko nad tem, że w tak okropnej nawałności ks. Dobrodziej do mnie się fatygował! Niech Pan Bóg zapłaci!

— Kiedy dopiero przed godziną stary Józef mi o waszej chorobie doniósł; obawiając się, żeby nazajutrz zapóźno było, śpieszyłem bez odwłoki do was!

— Byłobyć rano zapóźno, bo przeczuwam, że nadchodzi ostatnia godzinka! Nic nie pragnę już, jak tylko raz jeszcze oglądać mojego syna. — możeby go nawrócił widok i prośby umierającej matki!

— Jak dawno, jakeście go nie widzieli?

— Już minął cały tydzień!

— Gdzież bawi?

— U Rossa, który go zwodzi do najgorszych występków! — Społem strzelają i kradną w pańskich lasach zwierzynę, którą sprzedawają, aby mieli pieniądze na zbytki i hulanki! — Mój Boże, na cóż wyszedł mój Józef, który w dzieciństwie pod okiem Jegomości tak wiele obiecywał! — a jakiż będzie koniec jego? — Oj to zatruwa ostatnie myśli i krwawi serce moje!

Gdy ks. proboszcz nic nie odpowiadał, ciągła dalej:

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nad przepaścią.

Niedawno bawiłem u przyjaciela w tarnobrzeskiem. Między innemi książkami, mój przyjaciel wręczył mi kronikę, spisywaną przez ojca swego, z zezwoleniem jej przeglądnięcia. Wprawdzie nie spodziewałem się znaleźć nic zajmującego w niej, gdy przypadkowo zauważyłem napis: „Nad przepaścią", którego wierny odpis za zgodą mojego przyjaciela, Wam podaję.

„Nad przepaścią. Kaplica.

Promienie chylącego się ku zachodowi słońca oświecały ruiny zniszczonej, zapomnianej kapliczki leśnej. Według miejscowych podań kapliczka ta znajduje się w miejscu, gdzie przed wielu laty, rozbójnicy zamordowali bogatego kupca, a żona jego w miejscu, gdzie padł, kazała wystawić kapliczkę na pamiątkę. W pobliżu tej kapliczki wiła się kręta droga leśna, prowadząca z Tarnobrzegu do wioski N. Droga ta w pobliżu kapliczki przechodzi ponad głębokim, kamiennym wąwozem, przepaścią, nad którą był most drewniany, przez który musiało się przejeżdżać.

W mrokach kapliczki czaił się jakiś człowiek. — Wybierając takie miejsce, jakby wymarzone do napaści, widocznie czyhał na czyjeś życie. W kącie kapliczki postawił nabitą strzelbę, przed chwilą zaledwie zniszczył most nad przepaścią. Zbrodnia była tak szatańsko uplanowana, że chyba cud mógł wyrwać ofiarę, czy ofiary z rąk zbrodniarza.

Przed kaplicą na napół spruchniałym krzyżu wisiał wizerunek Chrystusa, zwisający na jednej ręce. Słaby wiatr igrał sobie dowolnie z wizerunkiem Ukrzyżowanego, o którym jedni ludzie zapomnieli, a nawet znalazł się człowiek, który u stóp Jego gotował się do strasznej zbrodni.

— Tak, za chwilę wam zapłacę za wszystko zło, któreście mi wyrządzili. Jemu za lata moich poniżeń, a jego młodej małżonce za to, że wzgardziła moją ręką, miłością, a oddała rękę mojemu wrogowi, bo był szczęśliwszym i bogatym. Urządzę wam krwawą podróż poślubną, miodowe miesiące, a wówczas, przy waszych krwawych trupach i sam odpocznę spokojnie, bo już nie będę miał poco żyć na świecie, mruczał sobie czyhający, przeplatając swoje rozmyślania przekleństwami.

Lecz długo mu się wydawało czekać, teraz dopiero zobaczył u stóp Chrystusa przymocowaną marmurową tabliczkę, na której z trudem odczytał wyryte słowa: „Ojcze, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią".

Czy to jego wrogów słowa te dotyczyły, czy też jego samego. „Ojcze, odpuść im..." To Chrystus miał się tak przed wiekami modlić za Swymi oprawcami. „Nie wiedzą, co czynią..." Te kilka słów opanowały zupełnie jego umysł, rozpoczęła się walka straszna, ciężka w jego duszy.

Powrót z kościoła.

Zupełnie nie przeczuwałem grożącego nam, a tak bliskiego niebezpieczeństwa. Ceremonje ślubne już się ukończyły, lecz żona jeszcze pozostawała pogrążona w gorących modłach przed wielkim ołtarzem. Już i zniecierpliwienie widoczne było wśród świadków naszego ślubu. Wreszcie ruszyliśmy do N. Właśnie dojeżdżaliśmy do leśnej kapliczki, gdy konie zaczęły się bardzo niepokoić. Chcieliśmy mimo wszystko jechać dalej, gdy wtem zauważyliśmy przy kapliczce człowieka. Stasia, moja żona, trwożliwie się przeżegnała, ja sam poznałem Zbigniewa, z którym mieliśmy liczne, stare, wrogie porachunki, a może najważniejszy był ostatni, mój ślub. Nigdy w życiu się nie lękałem, lecz wówczas uczułem, że włosy stają mi na głowie. Czy nie koniec naszego życia teraz, pomyślałem sobie?

— Musicie wracać, — odezwał się Zbigniew łagodnie — most nad wąwozem zerwałem.

W pierwszej chwili sądziłem, że kpi sobie z nas. Zbigniew mówił dalej:

— Tak, przed chwilą chciałem was zamordować, lecz teraz jesteście już bezpieczni, i opowiedział o walce ciężkiej z samym sobą.

Prosił nas o przebaczenie; oczywiście przebaczyliśmy mu wszystko, ja również jego przeprosiłem za krzywdy mu w życiu wyrządzone. Drogę zabezpieczyliśmy tymczasowo, zatarasowaniem jej, by ktoś życiem nie przepłacił naszych porachunków. — Zbigniew uprosił żonę, by na pamiątkę tego dnia przyjęła strzelbę, która jej będzie przypominać Opatrzność Bożą. Odtąd żyliśmy ze Zbigniewem jak dwaj serdeczni przyjaciele aż do jego wyjazdu do Peru".

Na tem opowiadanie kroniki się urywa. Gdyśmy byli sami z przyjacielem, zapytałem, czy nie wie o dalszych losach Zbigniewa.

— Ojciec mojej żony — mówił mi przyjaciel — umarł w czasie wojny. Teść bowiem ożenił się w Ameryce, dorobił się znacznego majątku. Z żoną był szczęśliwy, lecz żył krótko, bo nieboga umarła. — Wówczas z jedyną córeczką wrócił do kraju. Z moim ojcem nadal żyli w serdecznych, przyjacielskich stosunkach, odwiedzali się często, nic też dziwnego, że córkę Zbigniewa, Lidję, a moją teraźniejszą żonę, całem sercem pokochałem. Rodzice moi i teść sprzyjali naszem wzajemnem uczuciom i wkrótce odbył się nasz ślub w kościele w Tarnobrzegu.

A trzeba ci było widzieć, — kończył swoje opowiadanie przyjaciel — jak teść od chwili naszego ślubu poweselał, odżył widocznie. A gdy Bozia obdarzył nas dziatkami, nie było gorliwszego opiekuna i przyjaciela dla naszych maleństw od dziadzia Zbigniewa. Kochał czterech swoich wnuków, a najbardziej to naszą córeczkę Stasię. Tej naszej jedynaczce u dziadzia wszystko wolno było, wszystko najlepiej robiła. I wyrósł z niej urwisz, miły zresztą i posłuszny, który koniki bardzo lubi, rower się jej podoba, chociaż i w pracach kobiecych się nie zaniedbuje.

Widziałem, że ojciec widocznie po dziadku, odziedziczył miłość ku swej jedynaczce, bo że ją bardzo kochał, aż nadto było widoczne. *Jan Pelczar.*

Cześć bohaterom!

Trąby zagrały pobudkę powstania
Przeciw kajdanom ucisku, niewoli.
I płynie pieśnią, budzącą z zaspania,
Szumi, jak źródło potęgi i woli!

Kraj się ożywił i zazgrzytał bronią
I piersi swoje nadstawia na strzały —
Dzwony Zygmuntów srebrnym głosem dzwonią,
By naród pozostał i zbroił się cały.

I kwiat młodzieży w czynów stal uderza,
Zadaje rany i odbiera blizny —
Zdaje egzamin krwi i pancerza
O wolność Matki swej, Ojczyzny!

Choć wróg odwieczny połamał rapiery
I w krwi strumieniu utopił Wolności,
Żyją w pamięci naszej Bohatery,
Co dla Ojczyzny oddali swe kości!

Ludwik Kuboszek.



Poradnik gospodarczy.

Spokój dla krów w oborze.

Niejeden gospodarz i gospodyni myślą może, że aby mieć od swych krów wiele i dobrego mleka, trzeba krowę jedynie dobrze karmić. Tymczasem to samo jeszcze nie wystarcza. Trzeba jeszcze przestrzegać różnych innych rzeczy. Jedną z takich jest: przestrzeganie spokoju w stajni.

Wiadomo powszechnie, jak bydło opasowe używa spokoju. Gospodarz też stara się o to, żeby bydła takiego, które ma się odkarmiać, niczem nie drażnić, wiedząc dobrze, że zupełny spokój przyczynia się do produkcji mięsa i tłuszczu. Otóż tak samo ma się rzecz z krowami mlecznemi. Im również trzeba spokoju do produkcji mleka.

Nie ma się atoli rozumieć tak, że dla mlecznych krów najlepszem jest ustawiczne leżenie i odpoczywanie w stajni. Przeciwnie, krowy mleczne potrzebują miernego ruchu i przebywania na świeżem powietrzu. O tem tu tylko mowa, że krowy mleczne powinny mieć podczas dojenia i podczas pobytu w oborze spokój. Tej zasady powinno się przestrzegać tak, że w godzinach po odpaszeniu bydła, nikt nie powinien po stajni chodzić, ani tam żadnych robót wykonywać, lecz powinien tam panować zupełny spokój.

Może niejeden z czytelników, czytając te słowa, uśmiechnie się niedowierzająco i pomyśli sobie, że na zalecanym przez nas spokoju nic nie zależy. Ale radzimy tylko spróbować i przeprowadzić taki porządek, żeby bydło między rannem i południowem, a znowu między południowem a wieczornem odpasaniem, miało przez kilka godzin zupełny spokój. Wtenczas łatwo przekonać się będzie można, że krowom przybędzie mleka i że krowy do tego spokoju tak się przyzwyczają, że stają się dziwnie niespokojne, gdy ktoś wejdzie do stajni o niezwykłej porze.

Również powinno być cicho i spokojnie podczas robót w stajni, szczególnie zaś podczas dojenia. Kobiety lub dziewczyny, dojące krowy, nie powinny z sobą głośno rozprawiać, szczególnie zaś nie powinny krzyczeć nad krowami, nie poszturchiwać ich i bić stołkami. Wszystko, co krowy niepokoi, drażni i zniechęca, wpływa na to, że krowy mniej mleka dają.

Godziny odpasania tudzież dojenia powinny być ściśle oznaczone i przestrzegane. Nie należy karmić i doić krów w czasie dowolnym, jak się trafi, dziś o tej, a jutro o innej godzinie. Wszelka nieregularność i nieakuratność w tym względzie, przynosi gospodarstwu straty.

A więc gospodarze i gospodynie, uważajcie na spokój w stajni, a przytem na odpasanie i dojenie krów zawsze o jednej i tej samej godzinie...

Żywienie i hodowanie kurcząt.

Po wykłuciu kurcząt wsadza się je zaraz do skrzynki 25—30 cm. wysokiej z nakrywką, która powinna mieć wewnątrz temperaturę od 30—35 stopni Celsjusza. Ogrzewa się ją gorącą wodą, lampą naftową, piecykiem węglowym lub elektrycznie. Podłogę wyściela się ogrzanym piaskiem i sieczką.

Do tej skrzynki przytwierdza się drugą z nakrywą drucianą, która służy kurczętom jako grzebnik. Po 15 minutach, gdy kurczęta uspokoiły się — daje im się herbaty z rumianku lub letniej wody i trochę łamanego ryżu. Oprócz tego sporządza się dla nich mieszankę, składającą się z różnych części ryżu łamanego, grubego śrutu pszennego, kukurydzianego, jęczmiennego i owsianego, otrąb pszennych i skiełkowanej kukurydzy. Do mieszanki tej dodaje się około 5 proc. mączki rybnej i mięsnej, jak również po 2 i pół proc. fosforanu wapiennego, węglowego i wapień śrutowany. Po trzech dniach można dać trochę świeżego, przegotowanego mleka, lecz tylko tyle, ile w przeciągu 10 minut zużyją. Naczynie zaś musi być zawsze starannie umyte, żeby mleko nie skwaśniało. Począwszy od ósmego dnia, daje się trochę jaj na twardo gotowanych razem ze skorupą, z pokrzywą i najlepszemi otrębami pszennemi, oprócz tego, jak od początku, mieszankę paszy.

Resztki paszy należy zawsze usuwać, wodę zaś należy często zmieniać. Do wody można dodać małą ilość siarczanu żelaza.

Po ośmnastu dniach można dodawać już całą pszenicę, dalej pokrzywę i niewielką ilość sałaty zielonej. Poleca się także dawać małe dawki świeżego mięsa, siekanego maszynką i trochę kości mielonych, lecz tylko świeżych.

Od szóstego tygodnia począwszy daje się dużo pokrzywy z sałatą, lecz jako główny pokarm podaną na początku mieszankę.

W siódmym tygodniu przyzwyczajają się kurczęta do paszy, którą zwykle żywi się stare już kury. Najlepszą jednak jest podana mieszanka. Jeżeli możliwe, należy sporządzić kurczętom większe, dobrze porośnięte wybiegi (miejsca, gdzie przebywają na powietrzu).

Przy hodowaniu należy zważać na to, by temperatura odpowiadała rozwijaniu się kurcząt, to jest równomiernie się obniżała. W ciepłe słoneczne dnie wypuszcza się kurczęta na podwórze. Po upływie ośmiu tygodni, daje się kurczętom grzędy, które winny być szerokie 6—8 cm. Baczną też należy zwracać uwagę na pasożyty, które niszczą kurczęta w czasie rozwijania się.

Rady praktyczne.

Przy myciu słoików od konfitur lub marynat, aby usunąć stęchliznę, wsypać małą łyżeczkę sody do pieczenia w każdy słoik i nalać gorącej wody, poczem zamknąć i wstrząsnąć kilkanaście razy.

* * *

Gąbka gumowa zastępuje łatki do mycia.

Cytryny dają się najlepiej przechować zalane zimną wodą, którą należy zmieniać co tydzień.

Dobrego zapachu i smaku nadają sałatom owocowym miętowe cukierki; tych wrzuca się parę kawałeczków przed podaniem na stół.

KRONIKA.

Krwawy występ bandytów w Nowym Sączu. Szajka włamywaczy kasowych, która przybyła na gościnne występy do Nowego Sącza, dokonała dwóch napadów rabunkowych. Około 12 w nocy wtargnęli oni do młyna OO. Jezuitów, położonego na uboczu. Włamywacze, korzystając z tego, że młyn, będący w ruchu, zagłuszał wszelki hałas, przystawili drabinę do okna biura, znajdującego się na pierwszem piętrze, pozrywali kraty ochronne i w ten sposób dostali się do wnętrza kancelarji, poczem rozścieliwszy na ziemi przyniesioną słomę, przewrócili na nią kasę ogniotrwałą, a następnie przystąpili do jej rozbicia. W czasie jednak tej pracy zatrzymano maszyny młyna, a wówczas sprawcy, obawiając się, by pracujący w młynie robotnicy nie usłyszeli hałasu przy rozbijaniu kasy, wynieśli ją do okna i zrzucili z I go piętra na rozpostarte poprzednio badyle. W dalszym ciągu włamywacze przenieśli kasę nad brzeg rzeki Kamienicy i tam dokończyli jej rozbicia. Po wyjęciu z kasy całego zapasu gotówki w kwocie kilku tysięcy zł, próżną kasę wrzucili do wody, poczem nie zauważeni przez nikogo zbiegli. Ośmieleni widocznie tem udanem włamaniem, postanowili spróbować szczęścia w drugiem miejscu, gdyż około godz. 2 w nocy usiłowali popełnić podobne włamanie na szkodę właściciela domu zajezdnego N. Glücka przy ul. Pijarskiej. Jeden ze sprawców, widocznie dobrze obznajomiony z rozkładem domowym, wtargnął do sypialni Glücków, w której stała kasa i po wyjęciu ze spodni Glücka klucza od niej, usiłował ją otworzyć. W tej chwili obudziła się Glückowa, i słysząc w sypialni podejrzane szmery, zaczęła krzyczeć. Wówczas sprawca rzucił się na nią i trzymanym w ręku łomem żelaza zadał jej szereg uderzeń w głowę, tak, że kobieta, zalawszy się krwią, upadła na ziemię. Podobny los spotkał Glücka, który pragnął przyjść żonie z pomocą. Obawiając się, by wskutek krzyku nie nadbiegli domownicy, sprawcy zbiegli, nic nie zabrawszy.

Samobójstwo ojcobójcy. Z Krosna donoszą o strasznym wypadku, jaki się wydarzył w Krościenku Niżnem. Na tle sporów rodzinnych 21-letni Stanisław Danko dał trzy strzały rewolwerowe do swego ojca Michała, kładąc go trupem na miejscu. Ojcobójca zbiegł i przez całą noc błąkał się po okolicznych lasach, a na drugi dzień rano, przyszedłszy do parku miejskiego w Krościenku, celnym strzałem w skroń pozbawił się życia. Tragedja ta wywarła w całej okolicy bardzo wielkie wrażenie.

Gdy wracał od narzeczonej. W Grzędzie pod Lwowem został dokonany zamach morderczy, którego ofiarą padł tamtejszy mieszkaniec, Józef Głazowski, liczący 22 lata, syn majętnego gospodarza. Bawił on wieczorem w domu rodziców swej narzeczonej, a gdy następnie wracał, nagle na drodze z ukrycia padły trzy strzały rewolwerowe. Jedna kula ugodziła Głazowskiego w plecy. Na odgłos strzałów zbiegli się mieszkańcy pobliskich domów i pospieszyli rannemu z pomocą, poczem przewieziono go zaraz do szpitala we Lwowie. Sprawą tą zajął się posterunek policyjny. Z toku dochodzeń wynika, że do Głazowskiego strzelał jeden z tamtejszych parobków, który również starał się o rękę dziewczyny, będącej już narzeczoną Głazowskiego.

Krwawy samosąd nad złodziejem. Z Sosnowca donoszą: Wieś Preczów, gm. Sułoszowa, była widownią krwawego samosądu. 25 letni Piotr Syguła był postrachem całej wsi. Notoryczny złodziej karany kilkakrotnie więzieniem, po odcierpieniu kary wracał i w dalszym ciągu kradł, grożąc, że jeśli go wydadzą, spali całą wieś. Istotnie w lipcu ub. r. z niewiadomej przyczyny spaliły się 3 stodoły pełne zboża. Podejrzenie padło na znienawidzonego Sygułę, który po pożarze znikł. Minęło kilka miesięcy, gdy pewnego dnia jesienią wczesnym rankiem zauważono Sygułę przechodzącego przez wieś. Rozległy się okrzyki: „łapaj złodzieja". Cała wieś wyległa i tłum popędził za uciekającym. Syguła, widząc, że nie ujdzie pościgu, wpadł do pierwszej napotkanej zagrody i ukrył się na strychu. Zaczęło się oblężenie. Kto chciał dostać się do Syguły, dostawał w głowę i spadał z drabiny. Po chwili padł strzał i Syguła stoczył się na dół. Wówczas tłum wywlókł go na podwórze i pomny doznanych krzywd zaczął bić kijami. W chwili dokonywania samosądu przejeżdżał przez wieś miejscowy proboszcz, który rozpędził rozjuszony tłum, włożył na wóz Sygułę i odwiózł do rodziców. Ofiara samosądu jednak w drodze zmarła. Policja zajęła się wykryciem sprawcy strzału i ustaliła, że w czasie zajścia Jan Nobis kręcił się wśród tłumu z rewolwerem w ręku. Onegdaj Nobis stanął przed sądem okręgowym w Sosnowcu, oskarżony o dokonanie morderstwa. Sąd zbadał kilkudziesięciu świadków, którzy nie potwierdzili podejrzenia rzuconego na oskarżonego Jana Nobisa i wydał wyrok uniewinniający.

Aresztowanie zawodowego bigamisty. Policja warszawska aresztowała 35-letniego jegomościa, który grasował pod kilkoma nazwiskami i uprawiał „zawód" bigamisty, żeniąc się na prawo i lewo. Jak stwierdzono na razie, poznał on w 1920 r. Apolonję Dargiełównę, z którą zawarł związek małżeński jako Piasecki Franciszek. Po miodowych miesiącach, które dzięki posagowi małżonki były pozbawione wszelkich trosk materjalnych, małżonek zniknął, ale odnalazł się znowu w 1923 roku jako małżonek Kamili Pawłowskiej, którą poślubił jako Roman Kozakiewicz. I tu powtórzyła się ta sama historja. „Zawodowy" żonkoś wypłynął dopiero w r. 1927, by z kolei uszczęśliwić w Łodzi Helenę Śniadą, której dał przed ołtarzem nazwisko Stanisława Kossowskiego. Wreszcie w 1930 r. poślubił w Kielcach Sabinę Galińską. Tutaj jednak powinęła się noga polskiemu Don Juanowi. Małżonka dowiedziała się, że jej małżonek był już przez sądy łódzkie karany rocznem więzieniem za bigamję, odszukała jego ostatnie małżonki i rozczarowane panie stworzyły organizację, czyli „związek żon", który rozpoczął swoją działalność zawiadomieniem policji, a ta aresztowała Piaseckiego Kozakiewicza Kossowskiego. Ponieważ tak władze, jak i zjednoczone małżonki obiecującego młodzieńca mają wszelkie powody do przypuszczeń, że posiada on jeszcze więcej nazwisk i żon, będzie on poddany oględzinom tych Warszawianek, którem poginęli mężowie. Aresztowany zmieniał nazwiska w ten sposób, że przed każdym nowym ślubem znajdywał dwie naiwne osoby, które w najlepszej wierze stwierdzały na piśmie, że znają go jako pana X. Y. kawalera.

Zamordowanie 108-letniego starca. Straszliwie zamordowany został mieszkający na Wólce pod Mławą starzec 108-letni Jan Kaczmarczyk. Żył on z jałmużny i był powszechnie lubiany. Jako domniemanych sprawców aresztowano małżonków Antoniego i Ewę Wanisiewiczów, u których zamordowany w ostatnich pięciu latach swego życia zamieszkiwał. W mieszkaniu Wanisiewiczów znaleziono ślady krwi, a trupa starca z rozbitą siekierą czaszką znaleziono na strychu mieszkania. Wanisiewiczowie zamordowali Kaczmarczyka prawdopodobnie dlatego, że starzec, wobec podeszłego wieku, zniedołężniał i nie będąc zdolnym do zarobkowania, stał się dla nich ciężarem. Stwierdzono na głowie starca dwie cięte siekierą rany, mózg był naruszony. Ofiara dawała

jeszcze słabe znaki życia i miała głowę okręconą szmatami, a zakryta była sianem i słomą. O starcu 108 letnim śmierć widocznie zapomniała, pamiętali o tem ludzie-bestje i siekierą dobili nieszczęśliwego staruszka. Mordercy teraz oczekują rozprawy sądowej w więzieniu mławskiem.

Niezwykłe zjawisko atmosferyczne. Onegdaj w nocy mieszkańcy Janowca pod Bydgoszczą zauważyli spadający z nieba wielki słup ognia, który zetknąwszy się z ziemią, wydał huk, podobny do wystrzału armatniego. Świadków tego dziwnego zjawiska ogarnęło przerażenie. Jedni komentowali zjawisko jako zapowiedź zbliżającego się końca świata, drudzy twierdzili, że był to zwyczajny piorun, inni zaś, że był to meteor, który należy wykopać. Zjawiskiem zainteresowały się sfery naukowe, które wyjaśnią zagadkę.

Kainowa zbrodnia. Bracia Marjan i Jan Szalonkowie, mieszkańcy wsi Miłanica, gm. janowickiej pow. mołodeczańskiego, woj. wileńskie, wracali onegdaj z Mołodeczna, gdzie Marjan Szalonek załatwił u notarjusza sprzedaż części swych gruntów sąsiadowi, za które otrzymał 3 tysiące zł., poczem wspólnie z bratem swym udał się do domu. Po drodze w czasie przechodzenia przez kładkę na rzece, Jan Szalonek, wiedząc, że brat nie umie pływać, strącił go z kładki do wody, zaś po powrocie do domu rozpuścił pogłoskę, że brat utonął, będąc pijanym. Niedługo wyrodny brat cieszył się zrabowaną gotówką, bo prawda wyszła na jaw i został aresztowany, a w czasie rewizji znaleziono przy nim zrabowane 3 tysiące zł.

Zmartwychwstały nieboszczyk. We wsi Soroczki, gminy rakowickiej woj. nowogródzkiego, zdarzył się niezwykły wypadek katalepsji. Onegdaj 40 letni mieszkaniec tej wsi Kuźmian zapadł w sen kataleptyczny, którego omal nie przepłacił życiem, gdyż rodzina jego, sądząc, że Kuźmian zmarł, poczyniła odpowiednie przygotowania do pogrzebania ciała, sprowadzając nawet trumnę. Na drugą noc, w czasie, gdy przy zmarłym siedzieli liczni sąsiedzi i sąsiadki, rzekomy nieboszczyk obudził się i otworzył oczy. Można sobie wyobrazić, jaki popłoch powstał wśród obecnych, którzy z okropnym krzykiem wypadli z domu Kuźmiana, alarmując całą wieś, że stał się cud, że nieboszczyk zmartwychwstał, co wywołało olbrzymie wrażenie na mieszkańcach wsi, którzy gromadami udawali się pod domostwo Kuźmiana, by podziwiać cud. Dopiero po pewnym czasie wyjaśniło się, że Kuźmian wcale nie zmartwychwstał, a jedynie obudził się z długiego snu kataleptycznego.

Kradzież figury Matki Boskiej. Z kaplicy Dobrego Pasterza w Bytomiu na Śląsku pod zaborem niemieckim skradziono figurę Najświętszej Marji Panny, wykonaną z gipsu. Sprawcy wynieśli figurę na łąkę i potłukli ją na drobne kawałki. Jest to czyn tak haniebny, że słowami ani określić się nie da.

Salomonowy wyrok sędziego. Jedna z pielęgniarek miejskiego szpitala w Bytomiu oddawna tęskniła do własnego gniazdka rodzinnego. Wiedząc, że mężczyźni obecnie są łasi na gotówkę, oszczędzała z swojej małej pensji, odmawiając sobie wszelkich przyjemności. Chłopców znała dużo, lecz albo byli dla niej zbyt młodzi i mało poważni, albo też za starzy i nie podobali się jej. Nareszcie poznała pomocnika handlowego Jana Kupierza z Bytomia. Miał on początkowo tylko... przyjacielskie zamiary względem leciwej panny, gdy jednak zwąchał, że posiada ona oszczędności, zakochał się w niej na śmierć. Wkrótce odbyły się formalne zaręczyny i młoda para zaczęła przygotowywać się do stanu małżeńskiego. Młoda panna przygotowywała wyprawę, a „narzeczony“ starał się o ugruntowanie swojej egzystencji. Na rozszerzenie „interesu“ potrzebował stale pieniędzy i w krótkim czasie od swojej narzeczonej otrzymał 750 marek niemieckich, to jest wszystkie oszczędności, jakie przechowywała w banku. Gdy już więcej wyłudzić nie mógł, przepadł, jak kamień w wodzie. „Młoda panna“ nie zmartwiła się zbytnio utratą „narzeczonego“, żal jej tylko było krwawo zapracowanych oszczędności. Kilka razy prosiła listownie o zwrot pieniędzy, jednak ten na jej prośby pozostał głuchy, wobec tego skierowała sprawę do sądu. Kupierz oskarżony został o oszustwo małżeńskie. Na rozprawie zaprzeczał, jakoby kiedykolwiek był narzeczonym poszkodowanej i tłumaczył się, że pieniądze tylko „pożyczył“ i zamierzał je oddać. Sąd wydał iście salomonowy wyrok, mianowicie skazał Kupierza na 3 miesiące więzienia, którą to karę oskarżonemu się daruje, jeżeli spłaci poszkodowanej przynajmniej 600 marek w terminie do 1 stycznia 1933 r.

Zwęglone zwłoki w samochodzie. Z Berlina donoszą: Do serji licznych morderstw i oszustw asekuracyjnych, jakie mnożą się w Niemczech w zastraszający sposób, przybyła ostatnio tajemnicza afera fabrykanta berlińskiego Heinza Lakuma. Przed trzema miesiącami znaleziono na szosie obok Poczdamu spalone auto Lakuma. Wewnątrz znajdowały się zwęglone zwłoki fabrykanta. W toku badań i śledztwa wyszły jednak na jaw tego rodzaju fakty i szczegóły, które wskazywały niezbicie, że Lakum zamordował innego człowieka w swem aucie, by w ten sposób uzyskać premję asekuracyjną w wysokości 60 tysięcy marek niemieckich. Dotąd jednak nie udało się odnaleźć śladów Lakuma. W czasie rewizji znaleziono w mieszkaniu oszusta spis brylantów, jakie Lakum nabył na kredyt na kilka dni przed swojem zniknięciem. Mimo energicznych poszukiwań klejnotów nie odnaleziono. Policja przypuszcza, że zabrał je ze sobą Lakum.

Zamach morderczy 9-letniego chłopca. Wiedeńska kronika wypadków zanotowała fakt niebywały i niewiarygodny. Dwoje nieletnich dzieci usiłowało zamordować matkę, i to dwoje najprzykładniejszych dzieci pod słońcem, posłusznych, grzecznych i pracowitych, ubóstwiających poprostu rodziców! W budynku miejskim w Ottakringu mieszka już od 2 lat robotnik piekarski Henryk R. wraz żoną i dwoma synkami, z których starszy Erwin miał lat 12, młodszy zaś Franz 9. Pani R., która spała z chłopcami w tym samym pokoju i przygotowywała im zazwyczaj śniadanie, cierpiała krytycznego dnia na tak silny ból głowy, że wbrew swemu zwyczajowi nie wstała z łóżka. W pewnym momencie, kiedy chora odwróciła się twarzą do ściany, przystąpił cicho do łóżka 9 letni Franz i wyciągnąwszy nóż, zadał matce dwa cięcia w plecy. Pani R. krzyknęła boleśnie i odwróciwszy się, wyrwała chłopcu nóż z ręki. Chłopak na widok krwi przestraszył się, począł drżeć na całem ciele i zawołał rozpaczliwie: Mamo! Do pokoju wszedł drugi syn Erwin, który również ujrzawszy zranioną matkę, zaczął płakać i trząść się nerwowo. Wezwany lekarz opatrzył zranioną kobietę, która zwróciła się następnie do władz z prośbą, by oddać jej synów badaniu psychjatrów. Przy przesłuchaniu policyjnem podali niedoszli mordercy, że chcieli zamordować matkę, zrabować wszystkie pieniądze i rozpocząć awanturnicze życie w... Ameryce.

Zdechły pies w łożu ślubnem. Panna Elza B. była bardzo blisko zaprzyjaźniona z Fritzem Sch. Oboje byli biedni, jak myszy kościelne, czekali wciąż, aż się czasy poprawią, odkładając na później wspólnotę małżeńską. W międzyczasie poznała Elza eleganckiego i dobrze sytuowanego pana. Dziewczyna nie mogła dłu-

żej wytrzymać i „zakochała się" w tym krezusie. Biedny Fritz, widząc co się święci, knuł zemstę i robił co mógł, aby nie dopuścić do małżeństwa między panem Ludwikiem i niewierną a sprytną Elzą. Ale cóż może poradzić bezsilny, bo niezamożny zalotnik? Wkońcu stało się, co się miało stać: Elza stanęła na ślubnym kobiercu z bogaczem. Kiedy po uczcie weselnej młoda para pozostała sama w pięknem mieszkaniu i pani Elza znalazła się w sypialni przy łożu ślubnem, wydała nagle przeraźliwy okrzyk. W pościeli leżał zdechły pies! Doprowadzony do wściekłości pan młody, uświadomiony przez Elzę, kto mógł być sprawcą przykrego kawału, w najwyższej pasji pobiegł do mieszkania Fritza Sch., wyłamał tam drzwi i sprał mściwego zalotnika na kwaśne jabłko. Za uszkodzenie ciała zasiadł w kilka tygodni później na ławie oskarżonych. Sąd wziął pod uwagę usprawiedliwiony stan podniecenia pana Ludwika w chwili, gdy ten likwidował porachunki z rywalem i skazał go tylko na miesiąc więzienia.

Niezwykłe dziwactwo. W Zurychu w Szwajcarji zmarł pewien notarjusz. W mieszkaniu swojem miał on pokój, do którego wstęp wszystkim był wzbroniony, nie wyłączając żony gospodarza. Dopiero po jego śmierci otworzyły się drzwi i wdowa ku swojemu zdumieniu ujrzała w tajemniczym pokoju istny magazyn obuwia.



Znana była słabość notarjusza do pięknych bucików; małżonce swojej podczas krótkiego z nią pożycia zdążył ofiarować trzy tuziny najwytworniejszych bucików, sam zaś był wielkim znawcą pod względem ubierania swoich nóg. „Zbiór" oceniono na poważną sumę 20.000 franków. Rozumie się, wdowa przystąpiła do natychmiastowej sprzedaży tych zapasów.

Tragedja bandyty. Niezwykle tragiczny wypadek wydarzył się niedawno we wsi rumuńskiej Poeni koło Jass. Pewien chłopak wiejski, który opuścił przed siedmiu laty dom rodziców i rodzinną wieś i przystąpił do szajki bandytów, powrócił niedawno do wsi jako herszt szajki bandyckiej, aby zemścić się za swoją dawną krzywdę na kilku mieszkańcach wsi. W pierwszej chałupie, do której wpadł, natknął się w ciemności na jakąś starą kobietę, którą zabił uderzeniem kolby rewolwerowej, zanim zdołała wypowiedzieć jedno słowo. Kiedy towarzysze herszta zaświecili światło, ów poznał w zabitej kobiecie swoją własną matkę, którą pozbawił życia. Ogarnięty nagle rozpaczą chciał popełnić samobójstwo, ale do chałupy wpadli właśnie żandarmi, sprowadzeni przez mieszkańców wsi. Herszt bandytów, przygnębiony morderstwem, dokonanem na własnej matce, dał się ująć bez oporu.

Znów żywy człowiek w trumnie. W czasie pogrzebu kupca Wasila Silero w Bukareszcie w Rumunji wydarzył się nieoczekiwany wypadek. Gdy bowiem w kościele ksiądz odmawiał modły za zmarłego, „nieboszczyk" silnem pchnięciem podniósł wieko trumny, w której się znajdował i stanął osłupiały wśród zgromadzonych krewnych i przyjaciół. Nie trudno sobie wyobrazić paniki, jaka powstała wśród przerażonych świadków „zmartwychwstania". Najspokojniejszym okazał się sam „nieboszczyk", który rozglądając się dookoła, krzyknął do gapiących się przy drzwiach świątyni, by mu przynieśli ubranie, gdyż w stroju śmiertelnym nie może udać się do domu. Powoli krewni zdobyli się na odwagę i, otoczywszy z niedowierzaniem przed chwilą opłakiwanego, zawieźli go do domu w samochodzie. Następnego dnia zjawił się w mieszkaniu Silero inkasent zakładu pogrzebowego po należytość za pogrzeb. Kupiec jednak wyrzucił go za drzwi, twierdząc, że wcale nie myśli płacić rachunku za swój pogrzeb, z tej prostej przyczyny, że żyje. Ze swej strony inkasent oświadczył, że to nie wina zakładu pogrzebowego, jeśli do trumny złożyli zamiast nieboszczyka żywego człowieka, i dlatego zakład nie może ponosić strat. Ze względu na niebywałe okoliczności wydarzenia, zakład pogrzebowy oświadczył gotowość ugodowego załatwienia sprawy: przyrzekł Silerowi, że o ile ureguluje rachunek, przy następnej okazji, to znaczy gdy umrze naprawdę, otrzyma pogrzeb gratisowy. Uparty „nieboszczyk" nie przyjął jednak propozycji i niezwykły ten spór będzie musiał rozstrzygnąć sąd.

Straszna zabawa. Cyrk w Barcelonie w Hiszpanji, w którym odbywają się tradycyjne walki byków, był onegdaj widownią okropnej sceny. Oto podczas walki byków gawiedź, niezadowolona z wychudzonego wyglądu byka, podpaliła cyrk. Biedne zwierzę, podrażnione wrzaskami dzikiego motłochu, runęło w ogień. Na arenie powstał nieopisany popłoch. Policja, zamiast uspakajać publiczność, poczęła do niej strzelać. Wśród tu multu, kłębów dymu i strzałów poczęto się tłoczyć ku wyjściu, tratując się wzajemnie. W rezultacie kilkanaście osób odniosło ciężkie rany, lżej rannych odwieziono do domów. Biedny byk zginął w płomieniach.

Radosny dzień sprzątaczki. W momencie, gdy pani Peterson, żona kucharza restauracyjnego w Springfeld (Stany Zjednoczone) czyściła schody swego mieszkania rozległ się dzwonek. Rękami ociekającemi wodą i mydłem, niezadowolona z tego, że ktoś jej przerywa, otworzyła drzwi. Był to listonosz z listem do niej. W pierwszej chwili p. Peterson odłożyła list, by skończyć pracę, ale ciekawość przemogła. Otworzyła list, przeczytała i o mało nie wpadła do cebrzyka z wodą. Dowiedziała się, że odziedziczyła zgórą 3 miljony dolarów. Gdy wieść o tem rozeszła się w sąsiedztwie i dotarła do reporterów, ci nie omieszkali zrobić wywiadu z nową miljonerką. Dowiedzieli się, że ma zamiar nabyć aparat radjowy. Później jednak miljonerka zmieniła zamiar i wyraziła życzenie odbycia dłuższego wypoczynku w Kalifornji. Mąż jej sceptycznie zapatruje się na z nieba spadłą fortunę, postanowił pozostać przy swoich garnkach i rondlu, dopóki nie otrzyma gotówki na ręce. Bajeczny ten spadek pochodzi od krewnego, o którym Petersonowie nie mieli już od szeregu lat wiadomości.

Dwadzieścia domów z jednego drzewa. O drzewach olbrzymach pisaliśmy już niejednokrotnie w „Roli". Obecnie pewien amerykański leśnik znalazł w Kalifornji znowu takiego olbrzyma. Jest to tak zwane drzewo mamutowe, mierzące 100 metrów wysokości. Pień jego w odległości dwóch metrów od ziemi posiada 6 i pół metra grubości, a na wysokości 75 metrów grubość jego wynosi 4 metry. Według obliczenia owego leśnika drzewo to dałoby 120.000 metrów drzewa budowlanego, czyli aż nadto, by można zeń wybudować 20 domów średniej wielkości, zawierających 4 pokoje każdy.

RZECZY CIEKAWE.

Ryby o olbrzymich oczach.

W numerze 14 „Roli" z r. b. zamieściliśmy podobiznę ryby, która ma na nosie przymocowaną latarkę, wydzielającą silne światło, które oświetla głębie wód morskich. Nie wszystkie jednak ryby głębin morskich posiadają takie świecące latarki. Oto dziś podajemy podobizny innych ryb, które żyją bardzo głęboko w wodach morskich.



Ryby te posiadają oczy nieproporcjonalnie duże. Oczy te nietylko widzą same najbliższą przestrzeń wokoło siebie, ale ją także oświetlają. Gdyby się tam znajdowała tylko jedna taka ryba, to oczywiście światło to byłoby bardzo nikłe, w każdym razie wystarczające dla niej, ale gdy takich ryb spłynie się cała gromada, to światło ich oczu potrafi rozjaśnić przestrzeń wodną nawet na kilka metrów. Inne żyjątka morskie, zwabione blaskiem owego światła, podpływają gromadnie ku owym rybom, a te pożerają je, jako znakomity przysmak.

Żony na raty.

W bardzo odległych i egzotycznych krajach utrzymuje się ciągle jeszcze romantyczne przekonanie, że żona jest cennym nabytkiem, za który warto zapłacić pewną równowartość w towarach albo chociaż w owcach.

Ale nawet w tych błogosławionych krajach trzeba było ten zacny zwyczaj dostosować do warunków nowoczesnych, zmodernizować go niejako, bo i wśród narodów, wiodących żywot patrjarchalny, daje się odczuć przykry wpływ powszechnego przesilenia ekonomicznego. Zdarza się więc, że młodzieniec, chcący się ożenić, staje przed trudnem zagadnieniem: nie posiada dostatecznej ilości trzody dla zapłacenia wymaganego okupu.

W takich wypadkach przychodzi mu z pomocą kredyt.

Albo młody człowiek zobowiązuje się wobec rodziny przyszłej żony, że okup złoży ratami w pewnym określonym przeciągu czasu, albo też jego przyjaciele składają za niego wymaganą sumę, a on oddaje im ją również ratami.

Podobno ten sposób nabywania żony na raty wchodzi coraz bardziej w zwyczaj na Wschodzie.

Co mówi legenda o rękawiczce?

Czy znacie legendę o rękawiczce — czy wiecie, że rękawiczka zawdzięcza swoje powstanie zazdrości? Nie uwierzycie? A jednak tak jest w istocie. Mówi o tem legenda skandynawska. W krajach bowiem północy kobieta po raz pierwszy miała ozdobić nią swoją rękę. Oto posłuchajcie!

Żył w krajach północnych przed wiekami rycerz waleczny i zuchwały. Miał serce lwa i jagnięcia zarazem. Gdy na czele współtowarzyszów niósł śmierć i zniszczenie ludom Zachodu, był im czemś w rodzaju granitowej skały. Gdy ale stanął przed panią swej myśli, miękł przed nią, niby wosk przy ogniu, tajał niby śnieg pod działaniem promieni wiosny. Bo się kochał, jak tylu rycerzy i nie-rycerzy przed nim i po nim, bo w niej, jak tylu, widział niebo i słońce swego ducha. Nic w tem dziwnego, bo miała być piękną i dobrą jak anioł: jak Heloiza, Abelarda, Julietta Romea lub Maryla Mickiewicza. Legenda nie opisuje kształtów naturalnych, ale powiada, że miała śliczne włosy (a wie nie obstrzyżone jak chłopczyca!) a rękę tak białą i drobną, że do niej właśnie dałby się zastosować następujący wierszyk:

„Na twoją rękę padł śnieżek biały,
I bielszym od niej się mienił,
Ale, poznawszy błąd swój zuchwały,
Z rozpaczy w łzę się zamienił."

Rycerz ten zazdrosny był o tę rękę, co umiała wyrabiać prześliczne koronki (nie jak dzisiaj „naklejanki" i „wycinaki" czyli bzdury z papieru!). Zazdrosny był jak Otello Szekspira o Dezdemonę! Patrzeć na nią innym pozwolił, ale całować ani nawet dotknąć nie. A tymczasem prosiła się ona sama jeżeli nie o pocałunek, to przynajmniej o dotknięcie czulsze. To właśnie spędzało mu sen z powiek. Dopóki w Skandynawji panował spokój, mógł jeszcze jako tako sypiać — ale wiadomo przecie, że w owych czasach pokój był tylko czemś w rodzaju międzyaktu w sztuce na scenie. Ludzie mordowali się ciągle, chwilowo tylko wypoczywali, aby nabrać sił do nowych morderstw. Otóż w Skandynawji nagle, na jednym z takich międzyaktów pokojowych, zatrąbiono pobudkę wojenną. Zaczęto zwoływać rycerzy z całego kraju, by, przywdziawszy na siebie zbroję, stawili się w dniu oznaczonym na punkcie zbornym. I nasz rycerz został powołany wraz z innymi. Zanim ją poznał, a poznawszy, pokochał, szedł on na wyprawy wojenne z ochotą — ale teraz... Na tę rękę wszyscy patrzeć będą, niejeden z pozostałych w kraju, dotknie ją ustami. Ta myśl niecila żar w jego duszy, nakazując pracować wyobraźni. Co robić, aby do tego nie dopuścić? Gdy rąk tych zabrać na wojnę nie mógł, należało je i siebie od takich klęsk zabezpieczyć... I wynalazł dla ochrony ich rękawiczki! Rycerz poszedł na wojnę, pogruchotał tam całe stosy nieprzyjaciół, wreszcie powrócił do swej pani... i zdjął

z jej ręki rękawiczkę. O dziwo! Zobaczył rękę o wiele bielszą i piękniejszą. Odcięta od ludzi i powietrza, wydelikatniała i zrobiła się przejrzystą jak alabaster. Lecz niestety, zobaczyły to inne kobiety. Świadome jej cudownego wpływu, zaczęły również ubierać rękawiczki.

Mężowie! Jeżeli wasze żony zmieniają lekkomyślnie rękawiczki na każdy dzień, przynosząc waszym budżetom spory uszczerbek, nie narzekajcie, ale złorzeczcie zazdrości, bo ona jest sprawczynią tylu zgryzot itwórczynią rękawiczek... I pocieszcie się w waszych zgryzotach tem, czem się pocieszał rycerz skandynawski. Gdy oczy wasze i oczy tłumów spoczną na rękach waszych połowic, chociażby to był największy upał, ujrzą jedynie rękawiczkę...

(Ergo...)

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Złodzieje u artysty", „Na krzywą drogę", „Tragiczny koniec cygańskiej muzyki", „Rycerz rabuś", „Wspomnienia", „Dziwne drogi życia", „Godzina śmierci", „Tajemnica", „Słup Herkulesa", „Na obczyźnie", „Zakład", „Wola Boża jest świętą". — **Michał Kempys** w B.: „Jesienną nocą" posiada dużo zalet, a przedewszystkiem ładny styl i szlachetną treść. Drobne usterki ortograficzne poprawimy i gdy będzie miejsce, wydrukujemy. — **Helena Latawcówna** w Z.: Niestety, tak mało miejsca możemy przeznaczać na wiersze, że wielka ich ilość czeka w teczce na druk i doczekać się nie może. — **Jan Janowski** w Szcz.: Aby podać skuteczny środek, trzebaby najpierw chorą zbadać, tak na odległość nic poradzić nie można. Niech się Pan uda do najbliższego weterynarza po radę, a on może coś pomoże. — **E. B. z Tarnowa:** „Zapóźno" posiada styl oryginalny i treść miłą, ale forma utyka. Początek jest opowiadaniem przeżyć osobistych Janki, przez nią samą opowiedzianych, zakończenie zaś jest opisem osoby trzeciej. Wskutek tego całość nie łączy się w harmonijny utwór. Prosimy próbować dalej, a mogą się udać wcale ładne rzeczy. — **Franciszek Chorzępa** w N.: Konikówki dobre, kiedy jednak będziemy mogli je zamieścić, trudno nam oznaczyć. — **Stanisław Majcher** w N.: Nadesłany utwór załączyliśmy do prac konkursowych. Czy dobry, będziemy mogli ocenić dopiero po upływie konkursu. — **Józef Kowalik** w K.: „Jesienny list" bardzo ładnie napisany, ale dla „Roli" niestosowny. — **Kazimierz Nosalik** w K.: Węzę sztuczną dla pszczół najlepiej w zimie sprowadzać, gdyż w zimie można ją taniej nabyć. W styczniu i lutym powinno się ją w ramkach umocować, aby mieć na wiosnę wszystko gotowe. Przypuszczamy, że cena pszczół na wiosnę będzie nieco wyższa, aniżeli po inne lata. Może się to stać dlatego, że rok bieżący był dla pszczół bardzo kiepski, trzeba było w jesieni silnie je podkarmiać, a nie każdy miał pieniądze na cukier. Należy się obawiać, iż wiele pni w zimie z głodu spadnie, wskutek czego zapotrzebowanie będzie duże. — **Janina Koskówna** w T.: Na pytanie Pani trudno nam odpowiedzieć. To jedno możemy stwierdzić, że niezawsze w ładnem ciele mieszka ładna dusza. Są ludzie piękni, jak aniołowie, a źli, jak djabli i przeciwnie, nieraz człowiek upośledzony na urodzie ma duszę anielską. Ale nie znaczy to, ażeby każdy człowiek przystojny był złym, a brzydal dobrym. — **Jan Kozień** w L.: Już w następnym numerze rozpoczynamy druk nowej, pięknej powieści historycznej p. Marji Waller. Jeżeli Pański przyjaciel chce mieć całą powieść, niech sobie już teraz zaprenumeruje „Rolę", gdyż później może zabraknąć numerów z początkiem powieści. Łączymy serdeczne pozdrowienia, a za zjednywanie prenumeratorów jesteśmy bardzo wdzięczni. — **J. Fischerowa** w B.: Niestety, tylko ze względów czysto technicznych nie mogliśmy dotychczas spełnić obietnicy. — **J. Gremski** w K.: „Poranek zimowy" byłby dobry, gdyby go nie psuła podwójna forma rymów. Część pierwsza ma tylko same rymy żeńskie, zaś druga rymy żeńskie i męskie, a to psuje całość. „Święty Mikołaj" nie nadaje się do „Roli".

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zwierzątka domow.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Roślina uprawna.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ptak (zdrob.).
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Urząd staropolski.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ochrona deszczowa
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Ułani.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Nawóz.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Instrument muz.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Laska czarodziejska
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Winy.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Grzyb.

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko autora polskiego.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Eugenjusz St. Sekuła z G.).

Pierwsze drugie „n" do tego
Zakończenie pacierza naszego,
Pierwsze trzecie razem wzięte
Jednostki pomiaru dawno przyjęte.
Trzecie pół drugiego formę wiersza znaczy,
Zaś czwarte trzecie maść konia tłómaczy.
Całość to kraj bogaty, ale cóż nam z tego.
Udzielił nam swego kryzysu gospodarczego.

II.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.)

Pierwsza druga dzieci bawi,
Trzeci w lordów rządzie siedzi,
Nad ustawą wciąż się biedzi
Lub mowami ród swój sławi.
Czwarte zaimek, mnogość bab oznacza,
Zaś całość męża wielkiego oznacza,
Co pobił Prusy, Austrję i Moskali,
Sam dostał wreszcie i skonał wśród fali.

III.

(Ułożył Bilka H.).

Zwykle, jeśli coś w sekrecie,
Mówi się na część dwa, trzecie,
Zaś pierwsze i pół drugiego,
Będą w ciele u każdego.
Chcesz całość zgadnąć, Marylko?
Do historji spojrzyj tylko!..

IV.

Pierwsze zazwyczaj każdy człowiek nosi,
(Zwłaszcza do kobiet więcej się odnosi),
Drugi zaś drzewo rzuca czasem z siebie
Kiedy zaślania słoneczko na niebie.
Całość otrzymasz na ślubnym kobiercu,
Kiedy poślubisz drogą twemu sercu!

3. Konikówka.

(Ułożył Leopold Wołek z Rz.).

bez	nia	sła	ca
na	na	dę	ko
nie	os	lei	wio
wóz	wo	na	daj
tróg	wsia	bez	bez

Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 4 grudnia b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 46 „Roli": 1. Konikówka: Kogo się nieszczęście imie, ten sobie, nos wycierając, palec zwinie. 2. Szarady: I. Urszula. II. Szarańcza. III. Sygnaturka. 3. Zagadka: Los. 4. Zagadka z zapałek: Pociecha. 5. Arytmogryf: Gdynia.

W oznaczonym czasie rozwiązania nadesłali pp.: Jan Kasza z U., Michał Mikulski z O., Stefan Koziebrodzki z T., Karolina Michalska z W., Józef Górecki z K., Krystyna Górecka z K., Gustaw Czeluśniak z U., Jan Kapłon z K., Katarzyna Jajkówna z I., Dr Tadeusz Smogarzewski z T., Ks. Michał Kłopiński z J., Jadwiga Mikrztówna z U.

Nagrody wylosowali pp.: Gustaw Czeluśniak z U. i Karolina Michalska z W.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Nasze dzieci.

— Czy pana boli brzuch?
— A często.
— Och, to pana musi bardzo boleć.
— Dlaczego?
— A bo pan ma taki duży brzuch.

Naogół kobietom przypisuje się plotkarstwo, ale gdy trafi się mężczyzna plotkarz, przewyższa zwykle największe plotkarki.

Ubóstwo ma swoje dobre strony. Człowiek ubogi wie przynajmniej, że dzieci jego nie wyczekują na śmierć jego.



O czem mówią ich żony.

— Wiesz, moja żona ciągle mówi o swoim poprzednim mężu.
— A moja o przyszłym.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 24 listopada b. r.

Pszenica	28·00—27·50	Słoma długa	8·00—8·50
Żyto .	26·00—26·50	Ziemniaki stoł.	4·75—5·25
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna na-sienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	27·00—28·00		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	41·50—42·00
Groch zwyk.	28·00—30·00	Mąka pszen.	46·00—47·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	15·50—16·00
Łubin żółty	21·00—22·00	Otręby żytnie	16·00—16·50
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 24 listopada b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·70 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·25 zł.
Krowy .	od 0·54 do 0·58 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·25 do 1·40 zł.	Nierogaciznę białej wagi	od 1·50 do 1·75

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

na rok 1932

jest już do nabycia w Administracji „Roli" po cenie 2 zł. 95 gr. — Po zgłoszeniu zamówienia wysyłamy czek na Kalendarz w numerze »Roli«.
